



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

ROZNE
DZIEŁA
WALENTEGO GURSKIEGO.

T O M III.

ROZNE WIERSZE, KOMEDYA
I BĄTKI.



W KRAKOWIE 1804.

w Drukarni JANA MAJA.





**INSTYTUT
BADAŃ HISTORYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-900 Warszawa

tel. 22 63 42 11 i w. 42

1033

R O Ź N E

W I E R S Z E .

Δ 2

5

WILHELM
R. O. S. O. R.



O B R A Z
S Z C Z E S L I W O S C I .

Czy własnym uprzedzeniem, czy blaskiem
zwodniczym;

Czy też pewniey podchlebstwem zdięty nie-
wolniczym:

Malując pewny malarz szczęśliwość, w koronie,
Dał iey postać Królowey siedzącey na tronie.
Twarz wdzieczna, śliczną cerą jutrzeńkę gasiła,
A suknia iak śnieg biała, bielsze ciało kryła.
W iedney ręce róg kwiatem napełniony
miała; (a)

(a) Róg Amalthei. — Imię kozy, która
małenkiemu Jowiszowi mleko dawała. Cze-
go Jowisz wdzieczen przeniósł ją z kozletami

W drugiey berło; (b) i wieniec oliwny trzy-
mała. (c)

Pod nogami broń ostra w różnych więzów
słumie,

Zdała się grozić zdradzie, i obrzydłey dumie.
W kęło zaś żarty, śmiechy, i gracye tchliwe, (d)
Badośnie skacząc, serca wieńczyły cnotliwe.
Skończył pełen roskoszy Malarz z swey roboty,
Błogosławiąc godzinom za ten dar ich złoty.

*do Nieba, i osadził między gwiazdami. Nimfom zaś, które go pielegnowały, w nad-
grode róg ieden teyże kory darował. z tym
przywilejem, czegoby tylko potrzebowaly,
wszystko w nim znaleść miaty. Róg ten na-
zywa się przeto rogiem obfitości. — Inni znó-
wu obfitość wyrażają w osobie Damy, stojącej
lub siedzącej w pośrodku rozmaitych rze-
czy do wygody i swobodnego życia służ-
nych. Na twarzy przy dobrej cerze żywość
w niej się wydaie zdrowego i czerstwego
słowiaka. W iedney ręce trzyma róg peł-
ny kwiatów i owoców; drugą na mnostwo
zwierząt i ptastwa wskazuje. — Mitolog.*

(b) Berło: znak panowania.

(c) Wieniec oliwny: znak pokoju.

(d) Gracye: trzy córki Jowisza i Wenery.

Noc też właśnie już siała Morfeusza ma-
kiem; (e)

Wespół przeto z człowiekiem, zwierzęciem i
ptakiem,

Usnął i on po pracy zabawny swym celem.

Gdy w tym staneli przed nim Ravaillac (f)
z Kromwelem. (g)

W teyże samey postaci! tak wściekli! zuchwali!

Z taką twarzą! z iaką swych Królów zabiał.

Szydząc z jego obrazu, i radząc mu, aby

Przydał tam jeszcze nędzę, gdzie były powaby.

Malarz srodze zmieszany przez tych zboyców
marę!

Natychmiast sprawił ogniom z dzieł swoich
ofiare.

(e) *Morpheus*; jeden z urzedników Boż-
ka snu. Kogo on sie tylko główką maku
dotknął, zaraz zmorzony snem usypiać mu-
siat. — Mitolog.

(f) *Ravaillac*: Zabójca Henryka IV.
Króla Francuzkiego.

(g) *Kromwel*: Buntownik Angielski,
który z Parlamentem zniostszy sie moca de-
kretu swego Karola pierwszego Króla An-
gielskiego ściać kazat.

Ja idąc za naturą tak można nayprościej,
Przeciwny [wydać chciałem obraz szczęśli-
wości.

Naymniey więc nie chybiając wiejskiego
zwyczaju ;

W pośród śliczney równiny przy zielonym
gaju

Wystawiłem był chatkę oplecioną chrustem:
Drzwi, strzecha, dach, i reszta tymże były
gustem.

Wszystko się wdzięcznie śmiało koło tej za-
grody.

Tu widać było zboża ; tam po wzgórkach
trzody.

Tu Pasterz pasąc owiec niewinnych tysiące,
Wesoło śpiewał kwiaty zbierając po łące.

Tam drugi przegrywając swobodnie na flecie,
Zdał się myśleć, że on był iedynym na świecie.

W inney stronie Pasterki nadobne, pieszczone ;
Goniąc iedna za drugą wzajem rozegłone :

Biegły ku Pasterzowi ubranemu ładnie,
O zakład, która pierwey w iego ręce wpa-
dnie.

Daley las się podnosił znaczny ptastwa ste-
kiem.

W nim ptak iedno trzymając z tamtejszym
człowiekiem :

Czystych darów natury bez przeszkod używał.

Pieścił się, latał wolno, i słodko spoczywał.

Za lasem leżał starzec pod cienistym drzewem:

Rzeźwiący się ciepłego wietrzyku powiewem.

Drobne przy nim dokoła igrały prawniki,

A on im dawał proste o Bogu nauki.

Widok się wreszcie ziawiał rolnika nad stru-
giem,

Żono wypasłey ziemi kraiącego pługiem.

Pogodna twarzy postać widocznie świadczyła,

Jak głęboka spokojność w duszy iego była.

Wolen intryg, przepychu, i górney mozoły,

Poglądając z uczuciem na rolę i woły,

Zdawał się szczęścia swego cel zakładać na
tym :

By mając pełne brogi, zwał się z nich do-
gatym.

Zrobiwszy taki obraz, podług moiey myśli,
Wierzyłem, że w nim sama szczęśliwość się
kryśli.

Raz przeto zamyślony : i jakie są obroty
 Szumnych darów fortuny, i cichey prostoty...
 Zaszedłem niespodzianie na mieysce osobne,
 We wszystkim do moiego obrazu podobne.
 Takaż sama lepianka, łączka, gaik taki.
 Takież trzody, pasterze, takież las i ptaki.
 Wszystko zgoła co było w mym obrazie, żywo
 Tym mieyscem dowodziło szczęśliwość pra-
 wdziałą.

Wpatrując się z roskoszą w te natury płody,
 Nieznacznie przystąpiłem do samey zagrody.
 Głos mię tam wdzięczney zwabił wesoley
 dziewczyny,
 Która plewiąc z pośpiechem młode ogrodniiny:
 Pełna niewinnych chęci swobodnie śpiewała,
 Jak się tam kiedyś w lasku z Antkiem ca-
 łowała.

Jużem się był powracał z tey kochaney
 strony;

Stale o szczęśliwości wieyskiej utwierdzony:
 Kiedy mię nagle w uszy uderzył krzyk smutny.
 Zwróciłem się, i widok uyrzałem okrutny!
 Gonił człowiek człowieka zbitego niezmiernie!
 Ten padał, a ow ieszcze bił niemiłosiernie,

Ubiór nieszczęśliwego! i stan opłakany!
Swiadczył, iż to bydź musiał rolnik w rząd
oddany

Jakiemuś tyranowi: co nieznając siebie,
W pocie i łzach bliźniego własną ludzkość
grzebie.

Przenikniony do serca tym widokiem tchli-
wym, —

Uznałem: że ten stan jest raczey nieszczę-
śliwym.

Nosi imię człowieka, a w istocie prosty,
Jest bydłociem skazany do iarzma i chłosty.
Spieszno więc powróciwszy w gniewie, któ-
rym warłem:

Zaraz i ten moy obraz szczęśliwości zdarłem.
Lecz przywykły mych celów dochodzie
statecznie;

Nie przestałem dla tego szukać iey konie-
cznie.

Gdziebym zaś ją miał znaleźć? niewiedzia-
łem wcale.

Trzeba więc było przestać wlatywać zu-
chwale.

Owszem pozbydź się skrzydeł, a zostać ślimakiem.

Wszystko zwolna przetrząsać, i czołgać się rakiem.

Wzmocniony zatym szczerą cierpliwością siłą,
Puściłem się w tę podróż trudną i niemiłą.

A niechając nic opuścić; porządkiem bez przerwy

Od najlichszego stanu zacząłem najpierwi.
Szedłem dalej od niego równym stopniem
zawsze.

Gdzie były albo względy fortuny łaskawsze,
Albo gdzie się świeciła sława antenatów.

Do samych tak nakoniec wszedłem Majestatów.

Smutna doło! z iakąż cię boleścią poymię!
Równie cię władca świata iak i żebrak czuie.
Ty się wszędy wkradając tajnym losów
zdroiem,

Gorszkim serce człowieka truiesz niepokoiem*

Daremniem w pracy wytrwał, daremniem
się włuczyl;

Nigdzie cię szczęśliwości pendzla nie nauczył.

Za by iakiiey model, podiałbym się prędyi,
Wymalować rzetelnych sto obrazów nędzy.
Kto w iakim chciałby stroiu? w siermiędze,
w purpurze;

W szyszaku, fiolecie, czapce, czy w kapturze.
Ktoby w iakiey postaci mieć ią sobie życzył?
Mieć będzie bez zawodu: bomłiey dość nali-
czył.

Widziałem iedną ręce łomiącą z rozpaczy!
Druga się śmiała. Trzecia była znow inaczyi:
Ponura, albo dzika! iak sęp wyglądała.
Czwarta z zadartym nosem względy zaręczała.
Ta się potem sączyła przy ciężkiej robocie.
Tamta się przewalała po srebrze i złocie.
Ta zółwim pełznąc krokiem ledwie co łaziła.
Ta się wlekła piechotą, a tamta iędziła.
Zgoła to iest istotny zysk całej mey pracy,
Żem znalazł: iż w cierpieniu wszyscyśmy ied-
dnacy.

Przekonany żałością własnymi oczyma,
Że w żadnym stanie czystey szczęśliwości nima.
Na wzór zasępionego owego rolnika,
Co mu iuż los nadzieie wszystkie poumyka:

Kiedy go ogień spali! albo zdradzi niwa.
A potym zewsząd ściśnie nędza przeraźliwa!
Powracając z rozpaczą, blisko jakiejs chaty,
Uyrzałem w lasku starca zchylonego laty.
Włos śnieżny, broda po pas, twarz marszcza-
mi zryta;

Postać chociaż zniszczona, iednak znakomita;
Szeptaly mi do serca, że ten starzec miły
Nie był z tych, co się tylko włóczęgą bawiły.
Że słońce już w podziemne zacisze spadało;
Ośmieliłem się przeto iść ku niemu śmiało,
Prosić go, ażeby mię na noc przyjąć raczył.
On mię zaraz spotykał skoro mię obaczył.

A gdym mu powiedział co od niego żądam:
„Z całego serca rzekł mi, pozwól niech o-
glądam

„W ubogiej chatce moiej zacność twego
mienia.

„Życ z ludźmi, iest to mego cel uszczęśli-
wienia.”

Weszliśmy zatym wewnątrz do tej cichey
chaty.

Nayprzód mi w oczy wpadły tokarskie war-
sztaty:

Siekiera, hyble, świdry, napilniczki, piły,
Tu i owdzie po stronach rozrzucone były.
Przy oknie blisko łóżka stał stoliczek mały;
Na nim cyrkle, papiery, i książki leżały.
Otworzyłem z nich jedną, ciekawością
zdiety;
Tytuł tey był: „Samotność z swoimi po-
nety.”
Nie kończąc reszty pisma które było dołem,
Przewróciłem tę kartę, i czytać zacząłem:
„Ktokolwiek chcesz prawdziwey szczęśliwo-
ści użyć;
„Zakop się głucho w domu. Przestań światu
służyć.
„Depcz powaby..” W tym starzec przystą-
piwszy ku mnie;
„Porzuc rzeczy te brednie. Ich wydawca
dumnie
„O każdej rzeczy sądząc, brydkiem głup-
stwa stekiem
„Zrobił człeka; nie pomniąc że sam był
człowiekiem.”
Jakieżkolwiek są tego Autora domysły:
Czy one od dziwactwa, czy od prawd zawisły?

Pozwol mi rzekłem oycze, niech ie porozumiem.

Bydź może, że z nich poymę to, czego nieumiem.

„Czego chcesz? z ciekawością zapytał mnie stary.”

Patrząc odpowiedziałem na rozliczne dary,
Ktoremi nas Wszechmocność opatrzyć raczyła;
Chciałem wiedzieć: czy też w nich i szczęśliwość była.

Lecz po darmo straconych wielu trudach,
latach;

Kiedym iey nie mógł znaleźć w samych Majestatach:

Gdym iuż o niey nie myślił ni mówić, ni pytać.
Tu ieszcze coś znajduję; więc chciałym przeczytać.

„Porzuc rzekł mi powtórę. Oto wieczor śliczny

„Miłym krasząc promieniem Nieba przestwor mliczny,

„Wzywa nas, ażebyśmy wraz z stworzeniem całym,

„Udzielili się iego wdziękom okazałym.

„Profituemy z tych czystych darów przyrodzenia.

„Dusze nasze rzuciwszy błędne rozumienia.

„Wzniesione czuciów siłą! bardzo łatwą drogą

„Same z siebie o wszystkim nauczyć nas mogą.”

Wyszliśmy zatem chodzić do bliskiego gaju.

W ów czas właśnie, gdy wszystko było w nim iak w Raiu.

Przedziwny z roślin balsam, wiatrku wdzięczne tchnienia;

Naymilsze w nas sprawiały iakieś poruszenia.

Nie mówiąc nic do siebie, szliśmy z wolna gajem:

Upoieni roskoszą! i tchliwi nawzajem.

Kiedy starzec postrzegłszy na mej twarzy znaki,

Że się w nas szerzył płomień uczuciow iednaki.

Zapytał mię z uśmiechem: „Jakże ci się zdaia

„Te dary Opatrzności? z tą powabów zgraią!

„Co ci ta wielka księga natury odkrywa?..

„Jestże w niey by na moment szczęśliwość prawdziwa?”

Nie rzekłem : z tey podchlebney chwili biorąc
powód,

Raczey można mieć zdradnych wszystkich
ponęt dowód.

Żechcą one : aby tym silniey i prędzy
Dał się uczuć na potym skutek przykrey nędzy.
Tak z nami iak z tym gaiem chlubnym cacką
marna.

Oto błyszczą . . a wnet go ciemności ogarną.

„ Niemasz nic przeciw temu odpowiedział
stary.

„ Smutniejszey nad nas samych nie znaj-
dziem ofiary.

„ Wszystko to, co nas w słodkie ładze zapro-
wadza:

„ Natychmiast się odmienia ; szydzi z nas , i
zdradza.

„ Przez tę to ponęt naszych istotę obłudną,

„ Do trwałej szczęśliwości przychodzić nam
trudno.

„ Lecz niesadźmy ją wcale byźdź niepozyskaną;

„ Zważmy raczey, dla czego mało gdzie iest
znana.

- „Żądza człeka, iak płomień do smolney
istności;
- „Ustawicznie ku swoiey ciągnąc szczęśliwości;
- „Złośliwemi iakiemiś odurzona błędy,
- „Mniema doysć iey nayspewniey przez fortuny
względy.
- „I te wichry podziemne gwałtem ia burzace;
- „Ma raczey za bożyszcze wszystko działaiące.
- „Spoyrzyimy na świat; ieżli upewnić się
chcemy.
- „Oto większą część ludu wierzącą znajdziemy,
„Ze układ szczęśliwości iedynie trwa na tym;
- „Aby bydź Panem innych: aby bydź bogatym.
- „Nieszczęśliwe ofiary losu własney woli!
- „Do iakieyże ztąd smutney nie przychodzą
doli!
- „Oto w sameyże niby szczęścia swego przędzy,
„Kuią sobie łańcuchy, do tym trwalszey
nędzy.
- „Ażebyśmy mieć mogli lepszy tego wykład,
- „Stawmy sobie iednego człowieka na przy-
kład:
- „Co go słodka natury konieczność przyciska
„Mieć szczęśliwość. — Coż czyni? myśląc że
ią zyska.

- „ Nędzny! miał się z darem układu wiecznego.
 „ Iż szczęśliwość zawisła od niego samego.
 „ Niechce nawet i słyszeć o stopniu myślenia,
 „ Którym może iedynie doysć uszczęśliwienia.
 „ Ale zaraz powszechnym omamiony błędem
 „ Za błyskotką fortuny uganiania się pędem:
 „ Pada, zbiera, pracuje! wędzi się! w ostatku
 „ Pozwolmy: że tą drogą wyszedł z niedo-
 statku;
 „ Że się z gminu wydobył; że zaszczytów
 dostał.
 „ Lecz niech nam ieszcze powie, czy szczę-
 śliwym został?
 „ Bynaymniey. Owszem od niey odbłąkał się
 dalij.
 „ Potrzeby mu przybyły; żądza mocniey pali.
 „ Już i tę co miał pierwey spokoyność utracił.
 „ Bo błędylco go wiodły, żeby się zbegacił:
 „ Z losem iego powodzeń wziąwszy nad nim
 górę,
 „ Wprzęgły wiarzmo niewoli rozum i naturę.
 „ Kocha odtąd swe cele, i w nie stale wierzy.
 „ A chciwość, która się w nim coraz bardziey
 szerzy,

- „Tłumiąc wszystkie instynkta szczęścia prawdziwego:
- „Gryzie splątane serce do końca dni iego.
Tak każdy co tą drogą doysć do szczęścia
mniema;
- „Szuka go zawsze tylko . a nigdy goniema.
„Bo gdy żądza z natury zostaje bez granic;
„Gdy rzecz choćby najmilszą dostawszy ma
za nic;
- „Gdy tylko póty kocha, dopóki nie zyska:
„Jakaż ma bydź szczęśliwość z takiego
igrzyska!
- „Podobną żądz ofiarą i ja także byłem.
„Urodzony w ubóstwie, kiedy nędznie żyłem:
„Błędnym celem zyskania szczęśliwości miły,
„Łożyłem na bogactwa wszystkie moje siły.
„Zwiedziły mię ich z czasem względy naj-
łaskawsze;
- „Serce me iednak gryzły smutki tak iak zaw-
sze.
- „Oswoiony nakoniec z tym żywiołem próż-
nym.
- „Gdym dostrzegł, że on mi był najmniej
nieusłużnym;

- „ Że nie do szczęśliwości moiej był stworzony.
„ Owszem, że był zdolniejszym do zburzenia onyi;
„ Rzekłem w sobie: Fortuno! zradna, niebezpieczna!
„ Mamże cię pragnąć przeto, żeś zawsze jest sprzeczną;
„ Że mnie coraz większemi chuciami przywalasz..
„ I spokojność mą bardziej odemnie oddalasz..
„ Po co? kiedy dozieram krótkość życia mego.
„ Gdy bez ciebie mam wszystko, prócz zbytku brzydkiego.
„ Miałbym te trochę sił mych targać przez zapędy,
„ Abym po ciężkich trudach zyskawszy twe względy:
„ Przywalony plugawym namiętności stekiem!
„ Zapomniał na ostatek, iż jestem człowiekiem.
„ Tę smutną oczywistość rozważywszy pilnie,
„ Ułożyłem natychmiast starać się usilnie,

- „ Aby me serce gorną utwierdzone siłą,
„ Nad nędzę i nad rozkosz wyższym zawsze
było.
„ Odwaga wszystko zdziała z statkiem upor-
czywym.
„ Dopiąłem czegoś żądał, i jestem szczę-
śliwym.
„ Nic już teraz moiego serca nieuciśnie.
„ Czy się los mój zachmurzy? czy mi wdzię-
cznie błysnie?
„ Z iednakowym go zawsze uczuciem przyi-
mię.
„ Moźniejszym nie zazdrozczę; uboższych
ratuję.
„ Kontent zawsze z mey doli: na nic nie na-
rzekam.
„ Cicho życie, i na mój zgon spokojnie czekam.
„ Otoż to jest, z czego by bez żadney tru-
dności,
„ Można było wykryć obraz szczęśliwości,
„ Lecz że tey wcale iestem niewiadomym
sztuki,
„ Z kilku słów zrobiłem go dla moiey nauki.

„Zechceszli się zabawić iego wyrazami?
 „Znajdziesz ie iak powrócim w mey chatce
 nad drzwiami.”

Umilkł na tym staruszek: i spoczynek miły
 Nad słabę długą mową zdał się zbierać siły,
 Kiedy mi się ukazał widok chaty iego.
 Więc żadny, niecierpliwy, powrotu prędkiego,
 Nagliłem memi kroki starca krok leniwy.
 Chcąc uyrzyc iak nayprędzey obraz ten szczę-
 śliwy.

Weszliśmy w tym do chaty.— Nadedrzwi
 spoyrzałem,

I te słowa kolosu godne przeczytałem:

„Kochay Boga, bądź śmiałym, a na nie
 niechciwym;

„Te cie tylko przymioty uczynią szczęśli-
 wym.”

O moy Oycze! krzyknąłem roskoszą prze-
 ięty,

Jakieyżeś na szczęśliwość użył farb ponęty!
 Jak wielką otworzyłeś do iey doýścia drogę.
 Pozwol mi, niechay wszystkim ukazać ię
 mogę.

„Jeżeli

- „Jeżeli ci te miłemi stać się mogą dary:
 „Owszem, bierz je odemnie, uprzejmie
 rzekł stary.
 „Stopniowi chęci twoich nie zrównać nie
 zdoła.
 „Mnie wiodło moje dobro: Ciebie wszyst-
 kich woła.
 „Jeżeli się twe cele szczęśliwie powiodą?
 „Dola ludu, przez ciebie będzie mi nadgodą.
 „Życzę ci, kończ statecznie coś zamyslił
 czynić.”
 Czynie: nie już nie śmiejąc do tych słów
 przyczynis.



B U R Z A.

Coż się to znaczą te listki zwiędnione!
 Prawie po całym polu rozproszone.
 Zdać się iakby od swych drzew uciekły,
 A tuż za nimi ściga wichur wściekły!
 Pełno kurzawy, pyłu, zamieszania
 Jeden liść znika; drugi go odsłania.
 Żadney iak widzę litości tu nima.
 Niech nas ten widok na moment zatrzyma
 Mieszkańce leśni! coż się dzieie z wam
 Kto was rozłączył z waszemi drzewami?
 Gdzie wasza czerstwość?.. zieloność?..
 słyszą!

Same im tylko smutki towarzyszą.

Postąpmyż daley ku temu lasowi;
 Może nam o nich starszyzna co powi,
 A dźwigając nas z głębi naszych ciemnier
 Otworzy księgę głębokich tajemnic.

Ale ktoż równie i tu się nie zdziwi:
Jeden pogromca! wszyscy nieszczęśliwi.
Ten to sam i tu nieprzyjaciel srogi!
Smentney po lesie działaczem iest trwogi,
Przebiega ziadłość od brzegu do brzegu;
Niesyła nigdy okrutnego biegu,
I za nią wichier tłoczac się wałami!
Nad mizernemi mści się gałęziami.
Tłuką się drzewa z liścia obnażone!
Pochylaiąc się tylko na tę stronę,
Gdzie wściekła zemsta! roziuszona głodem:
Okrywa skały kochanym ich płodem...
Otoż przybytek wdzięków i roskoszy...
Co wczoray wabił; dziś od siebie płoszy.
Oto gaiszek zielony.. wesoły..
Wczoray był stroyny; dziś odarty! goły..
O! wy potężni badacze natury!
Racze się spoyrzyc na ten gay ponury...
A pokornemi myjąc dumę łzami!
Przyznaycie: nie tak dzieieź się i z nami...

D O M
G O Ś C I N N Y.

Wzwyčajnym zgiełku przebywszy dzień
nudny;

Kiedym snem słodkim krzepił me kłopoty,
Uyrzałem iakiś przed sobą gmach brudny:
Z wierzchu i z boku przedziwney roboty.

Lud przyodziały w szaty kroiów różnych,
Że raz wraz wchodził do owego gmachu,
Wszedłem też i ja w tłumie tych podróżnych,
I zaraz płakać zacząłem od strachu.

Zewszach stron bowiem występki sę wiły.
Lubieżność, chciwość, pycha, zdzierstwo,
zawiść!

Jednych z zwaśnionych w zawody kłuciły,
A drugich gryzła zniszona nienawiść.

Jeżeli zaś w którym z powszechny tej wraży
Oddzielnym tłumie gasły niepokoje!
Wnet domu tego gospodarz łaskawy,
Roznosił jakieś łagodne napoje.

Zbytnią ludzkością i ja uraczony,
Anim się postrzegł, jak z innemi wspołem
Gwałtownym czuciem znagła uniesiony!
Zżymać się! waśnieć, i targać zaczęłem.

W tym zakłuceniu spędziwszy dzień cały.
Gdy z późną nocą ten i ów odchodził:
Rozlicznym zgiełkiem srodze zesłabiałały!
Z boleścią za ów trunekem się godził.

Lecz próżno płacząc straconey monety!
Ledwieć krok zrobił z domu nieszczęsnego.
Zniszczony niby . . . Uyrzałem niestety!
Na iawie smutny obraz snu moiego.

Obraz! od życia ludzkiego niesprzeczny . .
Takem go sobie z łzami wytłumaczył:
Dom ten gościnny, był to Świat odwieczny.
A wchod do niego Narodzenie znaczył.

Placz, com go wszedłszy zronił przełęczniony!
Jest ten sam który rozżących się dusi.
Człtek iakby widząc zbrodnie z każdej strony,
Przeczuwa razem iż ie pełnić musi.

Gospodarz pilny; z napoiem łagodnym,
Co go dodawał gdy wrzawa znikła:
Jest życie ludzkie w związku nieodrodnym
Z namiętnościami burzliwego ciała.

Dzień, młodość: wreszcie starość, noc kryśliła.
Moneta której próżno się płakało...
Liczba upłynnych godzin moich była.
Wyście zaś z domu, śmierć mi oznaczało.

D O

C Z Ł O W I E K A.

Ozdoło i duszo świata rozumny Człowiecze! bez którego pełna powabów ta ziemia w głuchą zmieniałaby się pustynię: czemu Cię widzę też samą ziemię skrapiającego łzami. Wszakże ty jesteś jedynym Boga wielkiego tworem, że ci zchylone jest wszystko. Coż cię zwyciężać potrafi. — Odkryj się z tym co cię dolega na łono równego tobie stworzenia, a może twarz do radości stworzona; łzami teraz nieprzystoynemi oblana? właściwą swą cechę odzyska.

Niestety! nieszczęśniku (słyszę głos odpowiadający mi) mówisz do mnie, jak gdybyś sam nie był człowiekiem. Zrzuc pychę fałszywie łechcącą cię, iż jesteś najwyższym na ziemi, a raczej przyznaj, że wszystkiemu co cię otacza, służysz nikczemnie.

B 4

Czyliż cię nie porywa znikoma piękność płci drugiej? i wolnym ogniem nie trawi wnętrzości twoich. Albo zrobiwszy cię nikczemnym narzędziem swych chymer: czyliż nie szydzi z ciebie — Żądza wywyższenia się lub bogactw nie zginaż kolana twoiego przed równym tobie stworzeniem? albo czyli cię za nayprzykrzeysze nie wystawia podłości i trudy.— Nie uspasabiał cię do przelania krwi brata twoiego złość, ambicya, albo interes.— Mocniejszego nad ciebie ręka, nie wydzierał ci wolności samey! A gdy się przeciwko niey żalić przymuszonym jesteś: nie ukazujesz ci kaydan, przed któremi drzeć tylko i milczyć umiesz.— Nieszczęśliku! widowisko niewinney natury nawet stworzeniom wszystkim tak przyjazne i miłe: dla ciebie okrutnym się stało. Odkrylieli ci wdzięk iaki; natychmiast ten omamione zmysły twoje niszczy w tobie: a samego cię wtrąca w bezdenną przepaść namiętności burzliwych.— Przyday do tego ustawicznie krążące przy tobie nienawiść, zdradę, niesprawiedliwość, pychę, zaboystwo, niedostatek,

potrzebę, i tysiąc podobnego gatunku iedynie na chłostę twoją wylęgnionych zbrodni... Wystaw sobie nakoniec boleść! chorobę! śmierć straszna! i wieczne zapomnienie nawet o bytności twoiey na świecie... a na ten czas powiesz mi, kto iesteś.

Nieba! do iakiegoż słabość nasza nie przywodzi nas obłąkania. — Toc tedy poięcie twoie wszystkim innym odmówione stworzeniom, odkryło ci: iż iesteś naypoddlejszym i naynieszczęśliwszym na ziemi.

Nieinaczey. — Zazdroszczę losowi zwierząt. Używaią owoców słodkiej skłonności swoiey bez zgryzoty. Udzielaią się w kom natury, nieopłacaiąc ie łzami. Żyją bez zbrodni: umieraią bez boiaźni. Gdy przeciwnie wszystko to odmówione mi iest. A w nadgrodeę tego dane poięcie, abym lepiej obelgę moią poznawał. — Do czegoż mi drogi ten dar służy? — Oto, ażebym się rozpływał z posiadania zacności, i wszelakiego dobra, którym mię sama wieczney Istności obdarzyła ręka: i w tymczasie iedyney pociechy moiey momencie, abym

patrzył, iak to wszystko równe mi wydzie-
ra stworzenie. Abym w nayżywszey tchli-
wości poymował roskosze dla mnie stwo-
rzone, i abym ich nie posiadał nigdy. —
Ażebym wreszcie oddychał trucizną z czu-
cia krzywd moich, a potym umierał ze drze-
niem. — Jest to, co nayokropnieyszą wszyst-
kie dni moie zaprawia goryczą; to, dla czego
nakoniec nienawidzę życia moiego.

Zrozumiałem cię. I przyznać teraz iuż
muszę, iż iesteś prawdziwie tak nędzną
ofiara, iaką się bydz powiadasz. Dziwić się
nawet nie mogę, że się na Naywyższe do-
bru oburzasz. Gwałtowność gorączki, łatwe
usposabia rękę chorego do porwania i wy-
chylenia napoiu, który go zabić może. — Ale
ktoż tey nieszczęśliwości twoiey iest spraw-
cą? — Dawca życia twoiego? czy człowiek
iaki? — Nie: ty sam. — Skłonność każdego
człowieka wzмага się bez przestanku do
pożyskania szczęśliwości. Ta gdy przez za-
den los powierzchowny chociażby naylepszy,
ugrentowaną bydz nie może; ale zupełnie
od spokoyności wewnętrzney zawisła: do-

stąpienie więc oney całkowicie od nas samych zależy. Ale ten smutny iest nałóg nasz: iż czym mocniej pragniemy iey, tym mniej czuiemy potrzebę koniecznego porozumienia się, iakimbyśmy ją naypewniej pozyskać mogli sposobem. Wreszcie, i naydujący iey drogę; ustraszeni pracą, hazardem dochodzić do nięy wolemy. — Możeż bydź doskonale zrobionym wielkie dzieło iakie? ieżeli okoliczności wszystkie do wykształcenia onego pierwey przeyrzane, i dobrze zrozumiane nie będą. Albo ieżeli nam brakuie odwagi do zrównania się z pracą. Zaiste, gruba niedoskonałość w robocie takiej zostać koniecznie musi. — Udziałanie szczęśliwości iak iest istotą nayszacowniejszą, tak bardziey ieszcze wszystkie prawidła do ugruntowania oney znanemi, i iak naydoskonaley wypeñnionemi bydź mają. — Tyś tego wszystkiego zaniedbał. Ani siebie, ani rzeczy otaczających cię, a ściśle z tobą złączonych nierozeznałeś: iakże spodziewać się mogłeś? iż będziesz szczęśliwym.

Za wiele chcesz od człowieka, ażeby znał siebie. Zastanów się nad tą machiną z samych sprzeczności i ustawicznie przemiłających w niej odmian ruch swoy biorącą: atali nieuznasz ją byź przepaścią tak zabłąkaną i skrytą, iż nic pewnego powiedzieć o niej nie można.

Uzwalam na moment iedynie dla przekonania ciebie: iż człowiek jest niezbadana istota. Więc kiedy siebie pojąć nie mogłeś; za coż się nieudałeś do przejrzenia rzeczy otaczających cię. Bez żadney trudności poznałbyś był, iż wszystkie są płody trafunku ślepego; niestateczne, nikczemne, zgoła szkodliwe: też same, które cię teraz pieszcząc, niby, w przepaść wtrąciły. — Poznawszy się na nich rzetelnie, nie byłbyś im uszczęśliwienia swojego powierzał; ale nie mając się już dalsy gdzie udać, byłbyś się powrócił do siebie koniecznie. Niebezpieczeństwo znane otaczających cię rzeczy, zrobiłoby cię czułym na oddalenie własne. — Napastowany więc zwodzącymi ponętami onych, szukałbyś odporu: i bez pracy zna-

lazłbyś go był w samym sobie zawsze. — Rozum, ta cząstka Bóstwa! iedyny zaszczyt i nayszacowniejszy dar nasz, iako czuwający w nas zawsze, wszystkie z przed ciebie uprzętałby zawady. Jego dzielna przenikłość z niezbadaney twoim zdaniem istoty człowieka, porządne ukazałaby ci dzieło. A sprzeczności, i ustawicznie przemieniające odmiany, uyrzałbyś tylko nizeczemnymi duszami władające. — Ztąd poznać możesz, co myślę: iż żadnego do uszczęśliwienia siebie nieuczyniłeś starania. Zaniedbałeś doyrzyć co tobą władnie. Otaczającym cię widokom nie stawiłeś się iak człowiek. Zgoła, zaniedbałeś zrozumieć steru kieruiacego tobą, a od którego wszystko twoie dobro zawisło; to jest rozumu, i to jest twoje całe nieszczęście. — Mógłżebyś być człowiekiem? gdybyś rozumem obdarzony nie był? nie. — Rozum iedynym jest przymiotem, co od zwierząt różni człowieka. — Więc sama ztąd słusność wynika, iż to, co tak go uzacnia, i rządzić i nim samym ma prawo. — O! iak mało iesnana droga szczęśliwości zostawać pod pa

nowaniem jego. On jeden tylko niezmqczone sprawić może roskosze. Jego kosztem i roskosze serca żywsze nabieraiac pieszczoty, żadną zgryzotą ztrutemi nigdy nie są. — Nad szymeś pierwey rozpaczał: *iz wszystkimu eo cie otacza stuzysz nikczemnie.* Przeciwnie wszystko poddanym by ci było; wszystko by się do szczęśliwości twoiey przykładało, gdybyś obiektem dla ciebie stworzonym udzielał się rozumnie. — *Piękność ptci drugiey;* ta wdzięczna życia naszego chluba, nie trawiłaby wnętrzości twoich; owszem mięką napełniała by ie roskoszą, gdyby nie samo tylko serce zniewalało cie ku niey. — *Żądza wywyższenia się lub bogactw,* nie zginataby kolana twoiego przed równym tobie stworzeniem: bo by ci rozum ukazał droższe skarby, iakie masz w sobie. — *Złość, ambicya, czy interes* nie usposabiałyby się do przelania krwi brata twoiego; bo te obrzydłe nikczemney duszy płody, nikną przed cieniem rozumnego. — *Uyrzałbyś w ten czas niedotężną rękę Tyrana* usiłującą wydrzec ci cechę równającą cie z nim; a

niemogącą ci nic więcej odebrać, iak to tylko czym gardzisz. Daymy: izby twe ręce i kaydanami brzękneły, o ostatnia słabego przyprawuiącemi rozpacz! okropny dźwięk onych niezwyćiężałby cię wiedzącego dobrze: iż ten co ie włożył na ciebie, okrutnieysze ztąd na duszy swey dźwiga. — Tak że szczepu samychże nieszczęść, słodkie rodziłby ci twoy rozum owoce. A i w największym ucisku podła by cię nigdy nie znękała rozpacz. — *Zalisz się na naturę, iż nawet i ona dla ciebie okrutną się stała.* Im tohliwsza lub powabnieysza iest rzecz iaka, tym okrutnieyszą staje się dla tego, który iey użyć nieumi. Uyrzałeś przebudzaiący się ranek; albo wdzięczniey ieszcze usypiający wieczorek; tysiąc rozwitych na łonie iego powabow... Serce twe nie przyuczone do powolnego udzielania się roskoszom, porwało wszystkie razem. — Nacisk onych uderzył gwałtownie na osłabione iuż miłością twe chęci, i ztlumił ie. Upadasz! przygotowane do pieszczot czucia twoie, gorycz zalewa. Płaczesz. — Ztąd uważ: iaką masz

się oprzeć się boleści! kiedy w roskoszy znaleźć się nie umiesz. — Ale przytomny sobie wyidź: i spojrzey na te ze wszęch stron uśmiechające się szczodrey natury wdzięki! a ztąd chyba tylko żalić się na nie będziesz, iż ci ustawicznie nie świecą. — Mówisz daley: *iz nienawiść, zdrada, niesprawiedliwość, pycha, krzywdy, i tysiąc podobnego gatunku iedynie na chłostę twoją wylęgnionych zbrodni, szczęśliwym bydź ci niedozwalają.* Przyznay się do iednych, iż są własne twe ulubione płody; a przeto pozbyć się onych od ciebie zawisło. Drugie że są cudzemi; możesz się przeto od nich uchylić. *Nóć ten jaszczurczy najzapalczywiey za podobnym sobie upęda się gadem.* Nie bądź sam nienawistnym, zradnym, niesprawiedliwym, potwarzającym, krzywdzącym; a ścigać cię te zbrodzie nie będą. Przypadkiem zaś od nich napastowanego, rozum cię doskonale nauczy, iak ie ominąć, oprzeć się im, albo też wzgardzić masz niemi. — Przydaiesz ieszcze do okropności życia twoiego *boleść! chorobę! śmierć straszną! i wieczne*

sapomnienie nawet o bytności twojej na świecie. A za coż się przeciwko tym smutnym oburzasz losom; kiedy nienawidzisz życia swojego. — Wreszcie przyznać potrzeba, iż wszystkie te skargi twoje, nie przekonanie, lecz rozpacz, czy też raczej wygnutowanie chymerycznych pasywy twoich wyciska z ciebie. — Skarżysz się na śmierć, przeto iż wiesz, że umierać musisz. Całą jest krzywdą twoją konieczność. A gdyby wieczny układ niektórych z ludzi uczynił był nieśmiertelnemi; gdybyś ty był z tych liczby; bezmała byłbyś się nieuskarżał na nieśmiertelność swoją; iż ci zabroniono jest wiedzieć, co się tam dzieje po śmierci. — Zazdrość twoja ku zwierzętom: iż one żyją bez zbrodni; umierają bez bojaźni: dopełnia twoje nieszczęście. — O! gdzież jest większa przyczyna nad tę co by cię mocniej przekonać zdołała: iż udział rozumu, i zupełne panowanie jego nad tobą, jedyną jest istotą, co cię rzetelnie szczęśliwym uczynić może. — W tym to miejscu słuszniey niżli ty mnie pierwej powiedzieć bym ci powinien: Nieszczęśniku! byłeś do-

ład żalosną ofiarą interesu pychy, lub błędu cudzego. — Stańże się już godnym daru Boga twoiego. Idź za rozumem. Wielka ta i nayszybsza pochodnia poprowadzi cię prosto do zakrytego przed drżącemi duszami przybytku. — Znajdziesz tam wieczne prawdy żadnym nie zarażone wstrętem. Nagie zbrodnie! których sam widok odwróci cię od nich na zawsze. Poznasz fatalny płaszcz fanatyzmu! który odchylić gdy ci już nie zbraniać nie będzie: wyrzysz z niepojętą radością, iż śmiało używać możesz wielu niesłusznie zakazanych ci rzeczy. Z tych świętych widoków poymiesz błagalnie, w iakich się Bóg kocha. Samą w nich roszkosz znajdziesz. A ta cię tak dzielnie uzbroi: iż bez boiaźni umierać będziesz. — Ażebyś zaś siebie zupełnie już poznał iakim byłeś, muszę ci jeszcze twoy obraz wystawić. Dwie są drogi, z których jedną iak skoro wycho- dziemy z dzieciństwa przedsięwziąć koniecz- nie musimy. Pierwsza jest droga rozumu, na której pracę czuiemy. Druga serca, co nas od wszelkiego ciężaru uwalnia. Od

pierwszey gdy dla surowości iey wstręt naturalny mamy: ledwie że nie powszechnie owczym pędem wlatuiemy na drugą, nie zastanawiając się bynajmniej nad własnością i owocem oney. Powolność zupełna wszystkich zapragnień naszych przywiązuie nas do niey. Wierzemy iey. Slepó zatym już idąc, i pożywaiąc niezdrowe rokosze, których skutek po nasyceniu nudzącą nas trapi trucizną; do tego punktu przychodziemy nakoniec, że albo okoliczności, ten niewidomie świat cały spaiający łańcuch, iść nam niedopusci daley: albo owa żadnym sposobem niestrawiona trucizna, okrepna niespokojnością zmysły nasze udręczać zacznie. Boleść duszy naynieznośnieyszą iest. Gwałtownie z niey uleczyć się chcemy. Chwytaemy się zwyczajnie, co iest naybliższego nam. Z sercem się tylko znamy. Wzywamy go tedy na pomoc, iako iedno dobro co nas uszczęśliwiało dotąd. Niestety! serce z rozumem rozprzęgłe drzeć tylko! płakać! i korzyć się umi. Odmówiona mu iest ta dzielność, co przy rozumie z samychże szwan-

ków w większe go siły uzbraja.— Daremne usiłowania: upadamy coraz szkodliwiej. Zwyciężeni nakoniec: poddajemy się rozpasy.— I to to jest, co iakżeś powiedział „wszystkie dni twoje najnieznośniejszą zaprawiło goryczą.”

Szanuję wszystko co mówisz na stronę rozumu. Ale wybaczyć mi raczysz, iż nie poymię: coby za dzikość wyrządzić ci mogło serce twoje, że tak przeciwko niemu powstaiesz. Utwierdzam się owszem, iż nigdy żadney ci nieuczyniło przykrości. W ostatku, jest dziełem teyże samey ręki, co rozum. Ma równe iemu i siły i prawa. Nie nawidzić go więc, albo mu się sprzeciwiać; byłoby to dowodzić niedoskonałość albo złość najlepszey i naydoskonalszey istności. A wyprzysięgać się go: byłoby to, co czynić próżny przeciwko sobie samemu, albo nie o swoją rzecz kontrakt.

Wiem dobrze iak wiele kosztuje przymuszać się do przekształcenia przewagi w nałóg zmienioney.— I Phaetonowi zaprząg byłby lepiej usłużył, gdyby; nie samym tyl-

ko sercem kierowany był. — Ty sam nierazbyś strodze szwankował, gdyby oko twoje nie chroniło cię miejsc niebezpiecznych. — Co myślisz o dzielności oka; to bardziej myśl jeszcze o dzielności i konieczności rozumu: bo bez niego i oko by cię twoje zdradzało. — Jest to słońce, co i przez miesiąc udziela nam światła swojego. Lubisz miesiąc kiedy ci tysiące nayprzyjemniejszych roztańczy wdzięków. Niewygładza to przecie w tobie wdzięczności dla słońca; bo znasz iż bez niego cała by się okrutną stała natura: i te zniknęłyby wdzięki, których ci miesiąc udziela. — Lubisz serce, iż cię miłomi napawa uczuciami. A miałżebyś one? gdyby cię nieoświecał rozum. Wyprzysiągać się więc iak iednego tak drugiego, równie byłoby śmieszną rzeczą, iak usiłować od duszy ciało odłączyć. Są to dwie istoty tak ściśle z sobą złączone: iż iedna bez drugiej bytż nie może. Tak, iest podług wiecznego układu iedna drugiej podległą koniecznie bytż musi. — Która z nich panować po-

winna? poradź się skutków tey, co tobą dotad rządziła.

We wszystkim mię więc do rozumu od-
syłasz. Zdaie się przekonanie twoie tym
łagodniey zniewalać mię, że niewyklóteś
serca, lecz go tylko rządowi rozumu pod-
dałeś. — Ah! ileżkroć razy drętwiałem; próż-
ne czyniąc usiłowania do wyrzeczenia się go
na zawsze: kiedy mi za niego wieczną obie-
cywano zgubę.

Ktoby ci tak szkaradną wyrządzić usi-
łował krzywdę, nie poymuię. — Jesteśmy
wszyscy na ziemi. Stworzenia Boga iedne-
go. Z iedney zlepieni gliny. Jednakowe-
mi przymiotami i łaską równą obdarzeni.
W iedney zamknięci sferze. Patrzymy prze-
te wszyscy iednemi oczyma, i na iedne rze-
czy. — W prawdzie, zamarzenie nas czasem
nad granice wiary podnosi. Ale to tylko w
obrębach mniemania własnego dla nas sa-
mych szczególnie składaćby prawa powin-
no. — Z tym wszystkim szkodliwsze nad
złość samą z gorliwych tych wyobrażeń dla

narodu ludzkiego wynikaia skutki. Gdy u-
pewniaia nas iedni: iż Bóg brzydzi się mę-
czeniem człowieka. Drudzy przeciwnie do-
wodzą. — Jedni żadnych nie widzieli sposo-
bów, do godnego zasłużenia na łaskę Boga
drudzy zaś pewnie do pozyskania oney prze-
pisuia reguły. A słaby człowiek ucześnie-
wany niezdrowemi temi snów świętokradz-
kich płodami! potym od nich gryziony! wo-
łałby się raczey wyrzec wszystkiego, niżli nie-
oczyszczonym nigdy bydź winowaycą, albo
mniemanym zawsze poznawać się bluźnier-
cą. — Niechay te wiadomości tych przeraża-
ia! albo wesela, którzy lubia bydź dziecmi
na zawsze, i stąpić o swoiey władzy nieśmie-
iać: cudzym starszeństwem spodziewaią się
zasłonic. A teraz są iako owe listki, po roz-
kołysaney posuwane wodzie; plony burzli-
wey fali pōty, pōki ich druga silnieysza w
inną nie porwie stronę: a od tey gwałtow-
nieysza ieszcze, w iaką przepaść nie po-
pchnie. — My myślmy przez słusność przy-
najmniey: że kiedy ciało nasze wszystkie-

mi opatrzone przymiotami, w nas samych
i dla duszy prawidła są zaszczone: ile
od tego, który się nikogo nie radził, i ni-
czyicy stwarzając nas nie potrzebował po-
mosy.



PIEL.



P I E L G R Z Y M

N A D

G R O B E M.

Na krok ledwie już będąc od mojego końca:
Gdzie iak mówią, nie uyrzę ni dni mych, ni
słońca!

Wieczną tylko rozciągłość niepojętej ciszy...
O której człowiek zewsząd straszego coś
słyszy!

Ofiara wieku mego... nędzarz zapłakany!..
Stoię i myślę.. po co iestem tu przysłany?..
Co za los trudów moich tęgość ułagodzi..
Nie niewiem.— Wszakże prac mych zgrzy-
białość dowodzi!

I te srodze na twarzy wyryte zniszczenie:
Co mię wprawia to w rozpacz! to w upoko-
rzenie.

T O M III.

C

Głosie! któremu moja nieśmiertelność służy,
 Niech cię jeszcze usłyszę w schyłku mey po-
 dróży.

Jaż że to, który Panem nad tą ziemią byłem?
 Który wszystkie natury dzieła wysłodziłem!
 Który odważną ręką zdzierając zasłonę,
 Szedłem tam, gdzie spoczywa Bóstwo utajone!
 Który w myśli zamknąłem cały okrąg ziemny.
 Przychodzę się tu wreszcie uczyć: że mnik-
 czemny...

I okropnym na wzgardę zmuszony sposobem!
 Korzyę się przed tym nędznym! i zelżywym
 grobem!

O losie! nazbyt srogis; lecz tym okrop-
 niejszy,
 Że już nie w sercu moim trwogi twej nis-
 zmniejszy.

W porę właśnie wywierasz na mnie swoje siły.
 Kiedy mię już własności wszystkie opuściły;
 Kiedy się już w ostatku cienia mego lękam,
 Coż się chlubisz zły losie! że przed tobą
 klękam.

Odwago! gdzieżeś? i ty o młodości miła!
 Już to starym sercem wiecznie pogardziła..

Wznies mię jeszcze na moment; niechay z
dumną wzgardą;
Rzucam te nędzne życie pod śmierci broń
hardą.

Lecz czyieyże pomocy przyzywam do
spółki?

Młodości: tey naywiększey mey nieprzyja-
ciołki!

Która mię porzuciła raczey złości skutkiem,
Abym bez niey umierał z okropnieyszym
skutkiem.

Nie; niechcę iey. I ieźli wspominam ją sobie,
To abym z nienawiścią większą legł w tym
grobie.

Mamże mu za co sprzyiac? pytam się sam
siebie,

Grób! te mściwe więzienie, co mię wiecznie
grzebie!

Co inż teraz rozwarty! na to tylko czeka,
Aby mię prędzey zakrył przed okiem czło-
wieka...

O moy grobie posępnym strzęsiony inż zielem
Gdybys to ty się dla mnie otwierał tym ce-
lem:

Żebyś pokonanego już śmierci zwycięstwem,
Schronił mnie co narychley przed dumnym
iey mężstwem.

Całowałbym twe łono. I choćem już stary.
Godne takiej przyjaźni dałbym ci ofiary.

Aleś ty iest złośliwy z całym swoim rodem;
Z tym zielskiem! i z tą ziemią! równym to-
bie płodem.

Nie pomniąc na złe mego pielgrzymstwa o-
broty!

Że mię biły nieszczęścia! trudy! zimna! słoty!
Żem cierpiał od kolebki aż dotąd: wy wreście
Ze strony srogiey śmierci przeciw mnie ie-
steście...

Podło-mściwe stworzenia ziemio! i wy kwiaty
Dla tego żem nad wami panował przed laty:
Zabiegacie mi drogę niby iak zwycięzce,
Chcac i z siebie przyczynić szyderstwa mey
klęsce!

Bliskim iey. I już czuję fatalną iey trwozę.
Lecz się ieszcze nad wami dobtze zemścić
mogę.

Ruynuję cię zły grobie! i ile mam siły;
Depczę was kwiaty! coście grób ten wystroiły.

A ciebie nędzna ziemi! rozrzucam na strony.
Niech grób mój widzę jeszcze ręką mą zbu-
rzony.

Spokojniey umrę; pomniąc że nic nie zostało,
Co by mi zaniedbanie pory wyrzucało.

Wiem ia: że grób przeznaczon pamięć moją
zatrzeć!

Lecz się na to przynajmniej nie będę już
patrzeć.

Czymże więc w ten czas będę? ... trupem
niemym .. głuchym ..

Strachem z twarzą posępną ... i szkieletem
suchym! ...

Sen śmiertelny! na moich powiekach usie-
dzie.

A okropność patrzącym włosy iszyć będzie.
Nie patrz na mnie już w ten czas młodzie-
ży! z śmiałością,

Co się uczysz pogardzać śmierci okropno-
ścią.

Zgorszyłbym cię niestety! moimi widoki ...
Niech dla gminu zostaną na pestrach me
zwłoki.

.C 3

Ale coż to za gęsta burza! iuż się tłoczy?..
 Wicher smętny coś szemrze... arok zasłania
 oczy...

Dzień się chowa!.. a za nim noc czarna się
 wspina..

Smierć to iuż swoje sceny rozpoczyna!
 Natura cała przed iey larwą się zwinęła!..
 O świecie! iuż mię wieczna trwoga ogarnęła.
 Nadzieio! wieluż nędznych dar twej ubo-
 gacił.

Kto w tobie ufał, iakby nigdy nic nie stracił.
 Proszę cię: racz iak zawsze i teraz mię wspie-
 rać.

Żyjąc z tobą; bez ciebie nie umiem umierać.
 Smierć że to? kiedy człowiek w grób się
 iuż pochyli...

Ah! śmierć.. blisko iuż przy mnie.. iuż le-
 dwie pół chwili...

Pisz prędzey skrzepła ręko! minął czas dzi-
 waczyć;

Winiensem sobie ieszcze moy kamień nazna-
 czyć.

NAD GROBEM.

Wiek przeżył iak dzień przeżył, i zniknął
w tym grobie.

Nic więcey nie zostawił prócz łez swych po
sobie.

Gdy w ostatku dni swoich nad tym dołem
szlochał!

Wyznał Bogu że grzeszył; lecz go zawsze
kochał!

MODLITWA.

O Ty! którego dobroć z Istnością się zgadza.
Jeżeli żal pokorny winę ułagadza:

Jak człowiek wszystkich złości spełniłem
zwyczaie.

Dla ciebie, iak dla Boga! coż się iuż zostaje.
Bojąc się by mym sercem cudzy błąd nie
rządził.

Szukałem cię sam z siebie: i sam z siebiem
zbłądził.

Błędy moje okrywam gorącym westchnieniem!
O Boże zbaw mnie, pomniąc że iestem stwo-
rzeniem.

RYCERZ
ZAKOCHANY

CZYLI

MIŁOŚĆ PROWADZI DO
ODWAGI I SŁAWY.

K O M E D Y A.

RYCERZ ZAKOCHANY

C Z Y L I

MIŁOŚĆ PROWADZI DO
ODWAGI I SŁAWY.

K O M E D Y A

W PIĘCIU AKTACH.

Militat omnis Amans...

Ovid :

Grana pierwszy raz na Teatrze
Lwowskim dnia 14. Kwietnia
1799. Roku.

O S O B Y.

BITNICKI Regimentarz woyska posiłkowego.

MIŁOSZ Adjutant Regimentarza.

OBLĘZNICKI Komendant Fortecy
Częstochowskiej.

RADNICKI Burmistrz Częstochowey.

PETRONELLA Zona Burmistrza.

DOMINIK Sołtys Oyciec Rozyny.

ROZTNA Wdowa.

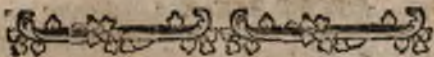
ELZBIETA Przyjaciołka Rozyny.

FLORTAN Żołnierz, ukryty pod nazwiskiem Wiernickiego dawniey kochanek Rozyny.

WESOŁOWSII Podchorąży, Ordynans Regimentarza.

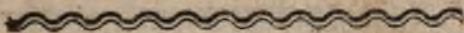
SŁUŻBA WOYSKOWA.

Scena w Fortecy Częstochowskiej
w Domu Burmistrza.



RYCERZ ZAKOCHANY

CZYLI
MIŁOŚĆ PROWADZI DO
ODWAGI I SŁAWY.
KOMEDIA.



AKT PIERWSZY.

Teatr reprezentuje przedpokój kwatery Regimentarskiej w Fortecy w domu Burmistrza, z którego iedne drzwi do pokoju Regimentarza; drugie do izby gospodarskiej; trzecie wchodowe. — W przedpokoiu stoją paki podróżne, i nieco znaków żołnierskich.

SCENA I.

WIERNICKI *sam.*

W ubiorze oznaczającym nierozłokowanego jeszcze żołnierza, w głębokim smutku zanurzony.

O toż mię znowu okrutne przeznaczenie w oyczyste strony przygnało. O! kraiu miły..

ziemio ukochana.. na którey urodziłem się i wzrosłem: widzę cie znowu.. Na ciebie nawet przyjemna dolino świadku czystych zawiązków serca Rozyny z moim.. poglądało dziś ponure oko nieszczęśliwego Floryana.— Ah! niespodziewałem się już oglądać was.. Strawiony sześćioletnią rozpacz! przybiegłem tu po śmierć iedynie; po śmierć o! iakże piękną, a dla mnie nayprzyzwoitszą, abym w obronie kochanki i współziomków moich pod temi poległ murami.— O Rozyno!... Rozyno... ostatnie to moje pragnienia były, aby mnie między trupami poznanego może, raz tylko ieszcze wspomniano... i tam gdzie mieszkasz, pochowano.— Dla tego żołnierzem zostałem: nie zginąłem iednak niestety! niechciały zapewne Nieba! aby nieszczęsny kochanek twoy odgłosem swey śmierci spokoyność twoją naruszył.— Szanuję święte wyroki. Nie będę występny, lubo naynieszczęśliwszym iestem... Oddalę się ztąd znowu... Zyi w spokoyności z cnotliwym Małżonkiem, który już musiał zasłużyć na to, abys zapomniała o mnie.— Ah! gdyby-

żem cię raz jeszcze przynajmniej obaczyć mógł.. Wiem iż przed mieczem okrutnych Szwedów w te Czestochowskie schroniłaś się mury. Jesteś tu.. o! żądzo najnijsza.., lecz nie: zdradziłoby mię serce moje.. nie mogę cię widzieć!.. i ty nie dowiesz się nigdy żem tu był, i żem z rozpaczą walczył za ciebie. — Twarz zmieniona, ubior wojskowy, przybrane nazwisko Wiernickiego, unikanie wreszcie przed ludem tutejszym, nieprzejrzaną spuszcza zastłonę na teraznieyszą bytność kochającego cię zawsze Floryana....

Przechodzi się milcząc.

S C E N A II.

WIERNICKI, WESOŁOWSKI.

WESOŁOWSKI *wchodząc z miną rubaszną rzuca się na krzesło, iakby bardzo zfatygowany.*

Ay.. przecię mię też poczeiwy nasz Regimentarz łaskawie uwolnić raczył od powinności daremneho za nim chodzenia. Le-

dwie człowiek zsiadł z konia; ledwie się od kurzu woiennego otrzepać mógł, iużci na Ordynans. Jeszczeż to gdy w woyskowej iakiy czynności odbywa się ta służba, własność powołania osładza trudy. — Lecz gdy przyidzie z butelką stac, ogień do lulki podawac, albo z słodkimi bilecikami biegac; przyznam się, że iak ta funkcyja do żołnierza wcale nie należy, tak też i ia nią diabelnie się brzydzę. *Wstając z krzesła do Wiernickiego.* A ty moy poczciwy kolego czego tak smutnym iesteś? Już doświadczasz względów Regimentarza, gdy ci się w kwatrze swoiey umieścić rozkazał. — Co ci to? czemu tak smutno wyglądasz.

W I E R N I C K I.

Bo niemam przyczyny być wesołym.

W E S O Ł O W S K I.

I ktoże iuż u diabła szczęśliwszym nad ciebie być może. Pięć dni dopjero iak zaciągnęłeś się do regimentu, prosty żołnierz zyskałeś iuż imie Bohatyra. Całe woysko oddaie ci sprawiedliwość: iż twoim iedynie meztwem i samo ucalone, i Forteca od ob-

leżenia uwolnioną została. Jakaż naywiększy nieprzyjaciel nie może ci tego zaprzeczyć. — Wszystkie już prawie pułki pierzchały: trwoga! i nieporządek powszechny straszną klęskę całemu obwieszcząły wojsku! kiedy ty wyrwawszy sztandar z rąk uciekającego, i dzielnym zapaliwszy mężstwem znaydujących się przy sobie żołnierzy, przez grad kul! i błyskawice piorunujących armat! przedarłeś się w sam śrzodek tryumfujących już Szwedów. Bohaterską tą twoją odwagą ośmielone pułki zwróciły się natychmiast. Uderzyły na nieprzyjaciela z mężstwem godnym przewodnika swego, i zwyciężyły. — Oj Panie Wiernicki! po takiej pięknej akcji bardzo wesołym być można.

W I E R N I C K I

To nic nie znaczy.

W E S O Ł O W S K I.

No no.. żartuj sobie. *Przykładając rękę do lewego boku Wiernickiemu.* Spytam się ja serduszka? co się w nim dzieje? O.. jak puka: ledwie nie wyskoczy z radości. —

Ale dobrze, iż się z zasługi swoiey nie chlubisz. Skromność, kaźdey piękney czynności szacunek podwaia.

W I E R N I C K I.

Przyiacielu! serce moje próżności nie zna; a zatym twoie pochwały nie należą do mnie. Jeźlim się śmiało z nieprzyacielem spotkał, powinnością to byłó moią tak, iak kaźdego żołnierza dobrowolnie stan ten obie-raiącego. Reszta pomyślności od szczęścia zawisła, a ta nie w ludzkiey iest mocy.

WESOŁOWSKI *przypatrując się z bokó*
Wiernickiemu.

I coż ty za ieden iestes...abyś.

W I E R N I C K I.

O co mię pytasz: czyliż nie widzisz, żea człowiek mizerny.

Juźcić widzę żeś nie anioł, ani szatan. Twarz zniszczona! i okropny iakiś smutek na niey wryty! zupełnie mię przekonywaią że iests prawdziwym człowiekiem. Ale też iak człowiek, musisz czuć ukontentowanie.

W I E R N I C K I.

Nie znam żadnego.

WESOŁOWSKI.

Nie czuieszże i ztąd w sobie roskoszy?
żeś walecznością swoją tyle ludzi od śmierci
zashował.

WIERNICKI.

Sam tego nie mogłem dokazać.

WESOŁOWSKI.

I że cię chwałą wszędzie?..

WIERNICKI.

Niedbam o to.

WESOŁOWSKI.

A gdy cię Pan Regimentarz na godność
podchorążką wyniesie, i medalikiem ozdo-
bi? bo na większą nadgodę wątpię aby się
zdobyto: uczujesz ztąd przecie iakiekolwiek
w sobie ukontentowanie.

WIERNICKI.

Niech mnie nie obdarza niezym: bo ni-
szego nie żądam.

WESOŁOWSKI.

To nadto: i zdumiwam się i lituję nad
tobą. — Ależ przecie nie zawsze może jesteś
w tym dzikim humorze?

W I E R N I C K I.

Myśl iak chcesz.

WESOŁOWSKI *na stronie.*

Trzebaby go koniecznie iakoś rozweselić. Szkoda tak walecznego żołnierza aby miał oszaleć. *Do Wiernickiego.* Może iaki ucisk potrzeby natury sprawia to, iż cię żadne bawidełko ucieszyć nie zdoła.

W I E R N I C K I.

Może.

WESOŁOWSKI.

Wyexaminuyno się tylko dobrze: czy wiechcesz ty iesc?

W I E R N I C K I.

Nie.

WESOŁOWSKI.

Albo pic?

W I E R N I C K I.

Nie.

WESOŁOWSKI.

Albo może tytiunku zapalic? he?.. tylko że tu Regimentarska kwatera. Coż na to?

W I E R N I C K I.

Nie, nie niechęć: zaniechaj mię.

W E S O Ł O W S K I.

No: iużbym też teraz i gardło moje stawiał, że się tyrańsko w iakieys zakochałeś dziewczynie. — Te szaleństwo prócz innych zwyczajnie ma takie symptomata, że ani iść, ani pic, ani nawet tytuniu palić się niechce. — Otoż ponieważ żołnierzem zostałeś, a do tego walecznym, masz prawo dowiedzieć się sekretu, którego cała armia nasza w podobnych przypadkach z przedziwnym zawsze skutkiem używa. Słuchaj: że abys dobrze poiął.

W I E R N I C K I.

Człowiecze: iużem cię prosił abys mię zaniechał. Dayże mi pokoy.

W E S O Ł O W S K I.

O...nie z tego. Przez przyiaźń którąm powziął do ciebie, muszę ci odkryć ten sekret. Nie lękay się. Nie jest to żadna obrzydliwa mixtura, ani żaden odrażający proszek, które muszą bydź fatalnemi, kiedy na

ich przyjęcie wzdryga się sama natura. — Jest to rzecz niewinna, a niezawodna. Oto: „Kochaj póty, póki widzisz.” Jakże ci się zdaie? Ta recepta na wszystkie zgoła choroby miłości uniwersalnym lekarstwem iest naszym. Inaczej, wszystkich by nas do diabła pozagryzała miłość. Niemaż nie przedziwnieyszego, iak żyć podług tego przepisu. W marszu, w fortecy, na komeńdzie; wszędy zgoła gdzie się obrócę, kocham się na zaboy! i omdlewam nawet z miłości, kiedy tego potrzeba: a iednak zawsze zdrowy i zawsze wesoły iestem.

W I E R N I C K I.

Osobliwsza miłość.

W E S O Ł O W S K I.

Zapewne że osobliwsza i iedyna, kiedy mię nieprzerwanie szczęśliwym czyni. Ale ho też i ia przepisy iey zachowuję tak ściśle, iak naygłównieysze Artykuły wojskowe.

S C E N A III.

CIZ SAMI I BURMISTRZ.

Wiernicki zawsze odwraca twarz od Burmistrza, bojąc się bydz poznany.

BURMISTRZ *wychodząc z izby gospodar-
skiej z dziwacznyemi gestami.*

Nayniższy sługa Wacpanów. Za wiel-
kie to sobie poczytuję szczęście, że JW. Pan
Regimentarz z godną familią swoją raczył w
mym domu kwaterę stanąć. Wacpanowie
iścieście kuzynowie iego?

W E S O Ł O W S K I.

Nie iesteśmy kuzynami, iednakże dość
bliscy: bo ja iestem na ordynansie u niego,
a ten moy kolega będzie spać przy nim tuż
w drugim pokoju.

B U R M I S T R Z.

A.. przepraszam. — Jakże mam honor
appellować godność iego.

WESOŁOWSKI *ogromnym głosem.*

Jestem Wesołowski Podchorąży od re-

gimentu Wielkiej Buławy: Czy rozumiesz Wacpan?

BURMISTRZ *przełknięty kłaniając się.*

Rozumiem, rozumiem Mości Dobrodzieiu.

W E S O Ł O W S K I.

Jakże ja się nazywam?

BURMISTRZ *ambarasowany.*

Wielmożny Jmc. Pan.. Pan Wesołowski. — Wszakże tak?

W E S O Ł O W S K I.

Tak: coż dalej?

BURMISTRZ.

Dalej? zaraz.. zaraz.. Podchorąży kija wielkiego.

WESOŁOWSKI *z surowym tonem.*

Coż to ty nieociesany dragu! żartujesz ze mnie, który piersiami moimi oyczyznę zasłaniam.

BURMISTRZ *drżący.*

Kto? ja.. odpuść Wielmożny Panie Podchorąży, może omyłka iaka...

W E S O Ł O W S K I.

Zamiast Buławy zrobięś mię Podchorążym kija wielkiego.

PUR.

BURMISTRZ *kłaniając się.*

Oh przepraszam: nie mogłem tego słowa spamiętać.

W E S O Ł O W S K I.

Nanotujże go sobie dobrze... bo...

B U R M I S T R Z.

Oy nie zapomnę go do śmierci. *Jakby ucząc się.* Buławy... Buławy...

W E S O Ł O W S K I.

A mój kolega iak się zowie; chcesz wiedzieć?

B U R M I S T R Z.

Nie, już nie jestem ciekawym.

W E S O Ł O W S K I.

A to czemu?

B U R M I S T R Z.

Bo możebym znowu nie spamiętał urzędu iego; a Wacpaniak widzę urażasz się o to.

W E S O Ł O W S K I.

No no już to minęło. — To jest Pan Wiernicki waleczny żołnierz, co w terażniejszej batalii przy oblężeniu najlepiej się dystygnował, i któremu krótko mówiąc, małki i życia wasze winnemi iesteście.

T O M III.

D

B U R M I S T R Z.

A.. wiemy już o tym. — Tenże to sam jest odważny Rycerz? a nasz wspaniały obrońca?

W E S O Ł O W S K I.

Ten sam.

BURMISTRZ *do Wiernickiego.*

Dzielny woiowniku! przyimiy tym czasem naysczulszą wdzięczność od niegodnego Burmistrza, nim ci ją oświadczy lud wszystkich przez ciebie zachowany.

WIERNICKI *nie patrząc na Burmistrza.*

Kłaniam Wacpanu.

W E S O Ł O W S K I.

Czy Wacpanu tutejszym Burmistrem jesteś?

BURMISTRZ *z przybraną powagą.*

Tak jest. Za poprzedzoną elekcją, jednomyślnie od całego pospółstwa Czestochowskim Burmistrem obranym zostałem.

Kłania się.

W E S O Ł O W S K I.

Dziękuię Wacpanu, żeś mię przecie uwiadomił o tym. Nigdybym się był nie domy-

ślił, że z tak wysokim rozmawiam urzędni-
kiem. *Na stronie.* Coż to za osieł!

BURMISTRZ *do Wiernickiego.*

Niewzgardzisz waleczny obrońco nasz
ubogim podarunkiem, iaki mizerni tuteysi
mieszkańcy przez ręce przysięgłego swego
Burmistrza ofiarować ci pragną.

W I E R N I C K I.

Nie potrzebuję i niechcę niczego.

BURMISTRZ *do Wesotowskiego.*

Jegomość się pono gniewa, i spojrzeć
nawst na mnie nie raczy.

W E S O Ł O W S K I.

Smutny jest: prócz tego patrzy zawsze
na zachód. Lecz jeżeli Wacpan chcesz mieć
ten honor abyś twarz jego oglądał, zaskocz
raptem, i spojrzyj mu w oczy.

BURMISTRZ *w tył usuwając się.*

A..do nóg upadam. Niechcę bydź im-
portunem. Gdzież JW. Pan Regimentarz jest
teraz?

W E S O Ł O W S K I.

Zostawiłem go na wałach. Oglądaj z

D 2

tutejszym Komendantem w jakim się stanie forteca znajduje?

BURMISTRZ.

Tym czasem więc nim się powróci, niechciejcie Wacpanowie wzgardzić ubogiem śniadaniem, które dla nich sporządzić każę.

WESOŁOWSKI

O dobrze, dobrze! Niechże cię uściskam przezacny Burmistru. *Sciska; Burmistrz krzyczy.* Bo też mi się tyrańsko żreć chce. Będzie tam zapewne i gorzałeczka: dmuchnę iey, aż oczy blaehmałem zayda. *Do Wiernickiego.* Poydźmy kolego.

WIERNICKI.

Niechce mi się ieść, poydźcie sami.

WESOŁOWSKI.

Panie Burmistru: dla tego walecznego Rycerza trzebaby iakiey staruszki od lat pietnastu, co by mu apetyt zaostrzyła, bo śnaczy ieść nie będzie. Czy nie masz iuż Wacpan iakiey córeczki?

BURMISTRZ.

Nie niemam: nie dawnom się ożenił.

W E S O Ł O W S K I .

O to to; wyśminicie. Ja świeże żony opętanie lubię. Ah! iakżem ci wdzięczny za to naysławetniejszy Panie Burmistrzu, żeś się nie dawno ożenił. Pozwól mi, niechay cię powtòre ze wszystkich sił moich uściskam. *Chce ścisnąć.*

BURMISTRZ *uciekaiąc od Wesółowskiego.*

Jaśnie Wielmożny Mości Panie Podchorąży Wielkiej Buławy, zmiłuy się nademną! nie dotykay się mnie! bo mi kości połamiesz. *Przybliżając się ostrożnie ku Wiernickiemu.* Rycerzu wspaniała! ratuy mię.

WIERNICKI *na stronic.*

Trudno, trzeba się ztąd usunąć: poznałby mię może. *Odchodzi.*

WESOŁOWSKI *do Wiernickiego.*

Gdzie idziesz kolego?

WIERNICKI *odchodząc.*

Mam interes.

W E S O Ł O W S K I .

Biedny! iakiś go srogismutek uciska. *do Burmistrza.* Wyznayże mi Wacpan szcze-

D 3

rze, po przyjacielsku, iakęs poczciwy człowiek, czy kocha cię żona?

BURMISTRZ *Śmiech udając.*

Cha cha cha cha wybacz mi Wacpan, ia żartowałem, żony niemam. Dopiero się to myślę ożenić. Tym czasem zaś wziąłem do siebie siostrę, wielką skrupulatkę! aby mi zarządzała domem.

W E S O Ł O W S K I.

Jakże to zaś byź może? Wacpan Burmistrzem, a beżżenny? Przecież to na ten urząd wybierają zawsze żonaty.

B U R M I S T R Z.

Prawda, bywało tak kiedyś, ale iuż teraz kawalerowie u nas ten urząd piastują, a to dla tego.— Postrzeżono, że bardzo często od stron prawujących się osobno Burmistrze, a osobno ich żony niegodziwą korupcją brali. Oż aby ile możności zabieżeć złemu: odsunięto żonaty od tego urzędu. Przyznaj sam Wacpan, że przez ten malenki wynalazek iakokolwiek ulżono ludowi.

W E S O Ł O W S K I.

Przyznaię, owszem gdyby wszystkich takich heretyków na hakach wywieszano, byłoby jeszcze lepiej. — Zdaiemi się iednak że Wacpan łiesz, choć to na sądowym stolcu zasiadasz.

B U R M I S T R Z.

Nie, wierźmi Wacpan ze niemam żony. Czegożbym się miał tać?.. tfy.. czy to co złego?

S C E N A IV.

CIZ SAMI I PETRONELLA *raptem wychodzi z izby gospodarskiej.*

BURMISTRZ *zmieszany z rodzinami dziwacknemi gästami do Petronelli.*

Po což tu?..

PETRONELLA *skłoniwszy się Wesółowskiemu do Burmistrza.*

Czegoż się tak długo bawisz moy mętu. Czemu Ichnościow na śniadanie nie prosisz? Iuż dawno gotowe, przestoi się. *Obzierając się.* A gdzież drugi się podział?

D 4

WESOŁOWSKI.

Wyszedł dopiero. *Wskazując na Burmistrza.* Czy Wacpani jesteś żoną Jego-
mościna?

PETRONELLA *z nieukontentowaniem.*

Tak jest: to jest mój mąż.

WESOŁOWSKI *do Burmistrza śmiejąc się.*

Mospanie Burmistrzu, iakże teraz bę-
dzie? — To Wacpan tylko dla mnie chciałeś
zostać Kawalerem Maltańskim.

BURMISTRZ *stoiąc iak osłupiały przez
czas nieiaké*

Dam ia Wacpanu kwaterę u pewnego
mieszczanina co ma prześliczną małżonkę, a
do tego dwuniedzielną dopiero.

WESOŁOWSKI.

Dziękuję Wacpanu. Pozwolicie iednak
moie Państwo i siebie czasem odwiedzić.

PETRONELLA.

O..i owszem prosimy Wacpana usta-
wicznie u nas bywać, będziemy ma radzi.

BURMISTRZ *na stronie.*

Otoż iuż się go/uczepiła. O niegodziwa
kokieta!... *Czyni śmieszne gesta.*

WESOŁOWSKI *do Petronelli przytłumionym głosem mówi, którego Burmistrz zwolna podsunawszy się podstuchuje.*

Jakże piękna! iakże powabna iesteś. Ani pomyśleć mogłem, aby się w tey dziurze takie pieszczone znajdować miało stworzenie. *Postrzegając Burmistrza.* A Wacpan czego chcesz?

B U R M I S T R Z.

Chcę powiedzieć żonie moiey, iż ten drugi co ztąd wyszedł, jest Pan Wiernicki, co nas walecznością swoją od oblężenia uwolnił.

P E T R O N E L L A *z efronterya.*

O nim też właśnie czyni mi Jegomość relacya.

W E S O Ł O W S K I.

Ale nie przeszkadzayże mi Wacpan, niechay Jmości cała iego akcyą opowiem.

B U R M I S T R Z *zacierając ręce na stronie.*

Już się porozumieli!.. Iż już oboje. —
Ay! nie o batalii on iey gada.

D 5

WESOŁOWSKI *do Petronelli, którego znowu mąż podstuchuje.*

Niegodziwie widzę zazdrosnego masz męża. Los to jest prawie powszechny wszystkich ładnych kobietek. Poszuwa się, iż cię nie wart...

BURMISTRZ *na stronie, cichym głosem nie przerywając Wesołowskiemu.*

O... iaż nie wart...

WESOŁOWSKI *ciągiem do Petronelli.*

...I dla tego boi się o ciebie. Ale też i Wacpani sumiennie powinnaś pomyśleć o sobie, aby tak wdzięczna pora młodości twej przy jednym tylko gnuśnym nie zgasła dożywotniku. *Postrzegając Burmistrza.* A Wacpan tu znowu?

BURMISTRZ.

Ostrzegam Panię Podchorąży Buławy wielkiej, abys nie ścisnął żony mojej: bo gdy ja w karesie Wacpana o małym nie omadlał, żonę moją udusiłbyś zapewne. I tak, ni z tego ni z owego sądzonym byłbyś kryminalnie.

W E S O Ł O W S K I.

Nie turbuy się Wacpan ani o Jmość, ani o mnie. Wiem ia iak trzeba ściskać mężów, a iak żony. *Do Petronelli głośno.* On się nazywa Wiernickim; ale któż wie? czy to jest prawdziwe iego nazwisko: bo to człowiek ze świata.

P E T R O N E L L A.

Pragnę bardzo tego Rycerza poznać. Jestże on oraz tak młodym i tak grzecznym iak Wacpan?

W E S O Ł O W S K I.

Młody człowiek, ale dużo zmizerowany i smutny.

B U R M I S T R Z.

No no... przestańcie już poniewierać imię pocziwego tego człowieka. Poydźmy na śniadanie.

W E S O Ł O W S K I.

Ah! prawda, ia zapaliwszy się opowiadaniem Jmości meztwa Wiernickiego, zapomniałem nawet że mi się iść chce.

D 6

P E T R O N E L L A.

Proszę, poydźże się Wacpan posilić.

Idzie pierwey.

WESOŁOWSKI *idac za Petronellą.*

Służe Wacpani. *Zbliżając się ku drzwiom obraca się do idącego za nim Burmistrza.*

A Wacpan gdzie idziesz?

B U R M I S T R Z.

Tam gdzie i Wacpaństwo, na śniadanie.

W E S O Ł O W S K I.

Któż będzie pilnował Regimentarskich rzeczy? aby z nich łotraki czego nie perwał.

B U R M I S T R Z.

A mnie co do tego, to sobie ich Wacpan sam pilnuy.

WESOŁOWSKI *do Petronelli cicho.*

Porwiesz mię niby gwałtem. *Głośno.* O..kiedy tak, to ia za śniadanie dziękuję, mógłbym go potym życiem przyplacic. Tu jest kancellarya woienna, kassa, srebra, kleynoty, papiery; to nie żart. Nie dosyc na tym że szyldwach stoi przed drzwiami; zawsze straż i wewnątrz bydź musi. Poydź-

nie Wacpaństwo sami, ja żadnym sposobem odstąpić nie mogę.

PETRONELLA *ciągnąc Wesołowskiego.*

Ale poydź Wacpan poydź, mąż moy żartuie. On nie iest takim brutalem, aby na momencik powinności Wacpana zastąpić nie miał.

W E S O Ł O W S K I.

Nie mogę, chyba mi Jegomość przyrzecze, że na krok ztąd nie odeydzie. *Do Burmistrza.* Jakże? zostaniesz tu Wacpan na straży? a ja się wnet powrócę iak skoro tylko apetyt moy zaspokoię.

BURMISTRZ *pomyśliwszy nieco.*

Oy nie...

PETRONELLA *porywając Wesołowskiego.*

Ey idźże Wacpan prędzey, bo się śniadanie przestoi. *Znikają za drzwiami.*

BURMISTRZ *pomykając się ku drzwiom.*

Ay ay! fotr od wielkiej Buławy porwał mi żonę.

WESOŁOWSKI *odchyliwszy drzwi trochę.*

Ostrzegam Wacpana przez przyiaźń Mospanie Burmistrzu, że u nas w woysku i tych

co kradną, i tych co źle pilnowią, iednako-
wo na szubienicy wieszają. *Zamyka drzwi.*

S C E N A V.

B U R M I S T R Z *sam.*

*Zamyślony nieco, drapie się obiema rękami
w głowę, i inne dziwaczne czyniąc gesta.*

A to co? anim się postrzegł, iak mię na
dółka wystrychnął. Zamiast co bym teraz
miał żony moiey pilnować; ia temu łotrowi
usługię ieszcze, aby się tym wygodniey
z nią bawił. Ay! wścieknę się.. On z nią
sam na sam. *Bieży do drzwi; to zaziera
przez szpary; to ucho przyktada; odchodzi
potym. O! bezbożny heretyku.. Wraca się
podziera znowu. Poczekay! nie poydzie ci to
płazem, przecież Burmistrzem iestem. Po-
zwę go ex termino tacto o porwanie mi żony.
Myśli.* Tylko że się przeciwnie stało, bo
ona go sama porwała. O hultayko niego-
dziwa! ieszcze by mi może podług swego
zwyczaiu wygarbował skurę za ciebie. Ha.

coż czynić? . . . trzeba teraz cierpliwie tę pigułkę połknąć; ale iak ztąd wymaszeruje, sprawię ia ci Dobrodzieyko dragańskie śniadanie. *Podziera.* Gdybyż przynajmniej Wiernicki ten żołnierz szanowny był między niemi, ieszcze by było pół biedy. Ale iak na nieszczęście moje i on gdzież odszedł. Jest ci tam prawda poczciwy Dominik, człowiek stary, niepodobna aby na nich nie wytrzeszczył oczów. Ah! gdybyż ich i na krok nie odstąpił; darowałbym mu zapłatę którą mi jest winnym za przemieszkanie w mym domu przez czas inkursyi.

S C E N A VI.

BURMISTRZ, DOMINIK.

BURMISTRZ z *niecierpliwością.*

A wasze tu po co przyszedłeś?

D O M I N I K.

Przysłał mię Pan Podchorąży wielkicy Buławy, aby samemu Wacpanu nie było tęskno.

B U R M I S T R Z.

Żeby go wszyscy diabli wzięli i z iego Buławą i z iego pamięcią o mnie. Niegodziwy! żonę mi uwiodł. I ażeby jeszcze bez przeszkody bawił się z nią: patrzno wasze, oto mię przy Regimentarskich bagażach na warcie postawił. Miałem nadzieję na waszei Panie Dominiku, iż w nieprzytomności moiej, żony mi dopilnuiecie. Jakoż godziło się tę przyjaźń mi zrobić, żem was z całą familią przed nieprzyjacielem do tey fortecy zbiegłych w domu moim umieścił. Ale wasze iak widzę pocziwym tylko iesteście: co się zaś tycze rozumu? to pasz. *Z gniewem.* Otoż mi zapłacicie za pomieszkanie.

D O M I N I K.

Zapłacę.. zapłacę rzetelnie podług umowy. Ale za coż mnie Wacpan łaiasz?

B U R M I S T R Z.

Dla Boga! znać żeś ze wsi. Patrzayno.. *Nachyla głowę.*

DOMINIK *przypatrując się.*

Niedowidze, coś niby iak guzy. Coż to? czy pobił Wacpaną?

B U R M I S T R Z.

Ey! gorzey ieszcze iak pobit. Rogi stasuszkę rosna, rogi. Czy widziales kiedy Burmistrza z rogami?

D O M I N I K.

A..rozumiem rozumiem, znaiomy iest ten wyraz i na wsi. Lecz Wacpan uspokoy sie Mospanie Burmistrzu. To utrapienie iest z liezby mezołow człowieka. Każda żona albo cnotliwą iest? albo nie. Jezeli ma cnote? nayprzewrotnieyszcy człowiek niewiedzie iey. Jezeli zaś iey niema: próżne wszystkie czuwania. W naypoczciwszey na pozor postaci, nayniegodziwiey meża oszukać potrafi.

B U R M I S T R Z

Otoż to takich diabelnie pilnować trzeba.

D O M I N I K.

Wyperswaduy sobie Wacpan. Swywoła na żonę iezeli w granicach uczciwości honor iey własny zachować niezdola; nieustrzeże takiy zapewne mąż żaden. Jest to owe zdziczałe drzewo, co mimo nayusilnieyszey

pilności ogrodnika, cierpkie zawsze wyda
owoce.

BURMISTRZ.

Moja, skoro obaczy iakiego chłopaka,
zaraz się z nim wdac musi: zaraz widocznie
kontenta. Już się wdzięczy; już się prostu-
je, już się w zwierciadle ustawicznie prze-
gląda. A mnie to wszystko katownią się staie

DOMINIK.

Jeżeli Wacpan o niewierności swej żony
ważniejszego porozumienia nie masz nad tę
że z innemi bawic się lubi, niesłusznie się
dreczysz. Oy.. pod wesołym humorem, a
nawet pod smą na pozor płochością kobie-
ty, często bardzo naysurowsza ukrywa się
enota. Wreszcze, jeżeli spokojność swoją
na strzeżeniu tylko żony zakładasz: za te-
rańniejszy moment ia ręczę; bo córka moja
Rozyna iest przy nich.

BURMISTRZ.

Dziękuję ci staruszkowi za taką wartę.
Rozyna i piękna i młoda; właśnie by też..

DOMINIK.

Doday Wacpan że i cnotliwa, a zatem śmiało zaufać iey można.

BURMISTRZ.

Z tey strony nie znam iey ieszcze.

DOMINIK.

Ah! Mospanie Burmistru gdybyś wiedział o iey awanturze, powziąłbyś lepsze o kobietach mniemanie.

BURMISTRZ.

Coż to za osobliwszą rzecz na zaletę płci swoiey zrobiła?

DOMINIK.

Opowiem Wacpanu wszystko dla ulgi sersa moiego.

BURMISTRZ!

Zaafsekuruycesz mię pierwey pod pozyciwością, że na Rozyne śmiało spuścić się mogę.

DOMINIK.

Zaręczam na moy włos siwy! nie zawiedziesz się na niey.

BURMISTRZ.

Słucham więc teraz spokojnie.

D O M I N I K.

Od lat dziecinnych ta nieszczęśliwa córka moja Rozyna przywiązała się do pewnego Floryana syna sąsiada mego, poczciwego bardzo młodzieńca. On też w niey rozmawiał się wzajemnie. W nadzieję dzieciństwa poglądałem bez boiaźni na te ich niewinne do siebie przywiązania. Lecz zawiodłem się szkaradnie. Gdyż z laty ta mała niby znacząca skłonność, w naygwałtowniejszą zmieniła się miłość. Przyszedeł czas: Floryan o Rozynę prosi mnie. Niestety! kiedy ja sam kochając go; zadosyc próbie jego uczynić nie mogłem. Dzieciną ieszcze bowiem Rozyna była; kiedy ja w nieszczęściu ognia cały moy majątek straciłem był. Odstąpiony od krewnych! znalazłem wsparcie w Łukaszu dawnym przyjacielu moim, który się ze mną na pół dobytkiem swoim podzielił. Żyjąc z nim w nierozzerwanej przyjaźni przez lat czterdzieści, przysięgłem umierającemu, że Rozynę z synem jego Izydorem zaślubię. Odkryłem więc ten straszny obowiązek moy Floryanowi i Ro-

zynie. Ah! co się z niemi na ten czas działo! nie mogę już opowiadać tego, bobym umarł z żałości... Cnotliwi kochankowie poddali się cierpliwie pod straszny ten wyrok!.. Uczynili niesłychaną ofiarę z najczulszej miłości... obowiązkowi oycy!... Nie dość na tym, gdy ja grunt moy sprzedać, ¹ w inney gdzie stronie osieść umyśliłem, dla usunięcia niebezpiecznego spotkania się Floryana z Rozyną. Floryan przyszedłszy do mnie, i zaklinał mnie, abym tego nie czynił; przyrzekł sam usunąć się z oyczyzny. Jakoż odkazawszy na Rozynę swoy cały majątek; porzucił go! i w świat poszedł. *Rozrzewnionym głosem.* Ah! nie żyje już pewnie.. zamęczony miłością! i żalem... Po dobrowolnym wygnaniu się iego; za Izydora Rozynę wydałem. Mimo smutku nieodstępuiącego iey nigdy po stracie Floryana, nayprzykładniey jednak sześć lat z swym mężem przeżyła. Zginął i on już iak Wacpanu wiadomo na murach fortecy tey, stawiając się mężnie w szturmie nieprzyacielskim.. A! a w starości moiey wraz z corką

sierotę zostałem! gdyż Rozyna o drugim mężu i słyszeć niechce. Ktoż teraz mnie zgrzybiałego! a ja wyniszczoną i słabą! podleprze... Ah! gdybyż Floryan nie oddalał się był od nas na zawsze...

BURMISTRZ.

Prawdziwie rzadkim przykładem cnoty okropną z siebie uczynili ofiarę ci biedni kochankowie. Ale też waszeci Panie Sołtysie trzebaby' za tę sprawkę dobrze grzywnami obłożyć.

DOMINIK.

W zbytku wdzięczności niebaczną wykonałem przysięgę! a dotrzymać iey było już powinnością moją. Ha.. *Wzdycha.* Stało się.. Łzy teraz tylko przy mnie zostały! któremi gorzko skrapiam niedolę mej córki! i własne szaleństwo.

BURMISTRZ.

Czy nie ten Floryan? co przed kilką laty mieszczanina tutejszego od zboyców walecznie obronił, a potem za to żadney od niego nagrody przyjąć niechciał.

D O M I N I K.

Ah! ten to sam jest poczciwy młodzieniec.

B U R M I S T R Z.

A... bodayże was Panie Dominiku! żeście tak dobrego chłopaka w niwecz obrócili, a może już i zgubili.

D O M I N I K.

Nie roziątrzayże już Wacpan boleśniew ieszcze ran moich. Wszak widzisz, iak nacisk zgryzoty i smutku razem! starość moia obciążył!

S C E N A VII.

C I Z S A M I I M I Ł O S Z.

MIŁOSZ *wpadając raptem, zastanawia się, potym dobywszy szpady.*

Co tu hultaie w Regimentarskiej kwaterze do czynienia macie? Przyznaycie się dobrowolnie, albo obydwóch was natychmiast do turmy zapakować rozkaże,

D O M I N I K.

Schoway Wacpan tę szpadę, bo my tui taysi ludzie iesteśmy. To jest gospodarz do-

mu Pan Radnicki Burmistrz, a ja komora
mieszkam u niego.

MIŁOSZ *kładąc szpadę do pochew.*

A...chyba że tak; wybaczcie. — Gdzież
się ztąd podział ordynans Regimentarski? i
drugi z nim żołnierz Wiernicki.

BURMISTRZ *klaniając się niezgrabnie.*

Za pozwoleniem, któż Wacpan iesteś?
i co za przyczynę masz pytać się o nich.

M I Ł O S Z.

Jestem Miłosz Adjutant Regimentarza.
A pytam się dla tego, że mam moc ukara-
nia ich, iż się ważyli z Regimentarskiej
kwatery odejść, i bagaże iego bez straży
zostawić.

B U R M I S T R Z.

Wielmożny Mości Panie Adjutancie za-
wierzay mi Wacpan Dobrodziey iako sądo-
wey osobie. Wiernicki nic nie winien; od-
chodząc ztąd bowiem po iakimsiś interesie
zostawił przy tych pakach Pana Podcho-
rążego wielkiej Buławy. Otoż ten Pan
Podchorąży wielkiej Buławy, gdy żona moja
wyszła, zaraz przyczepił się do niej. Mnie
przy-

przymusił, abym tu za niego stał na warcie; a sam kaci wiedzą? gdzie powłokł się z żoną. Jakże Wielmożny Mości Dobrodzieiu! będzie on ukaranym za to?

MIŁOSZ *wpatrując się w Burmistrza.*

Obacze; pomiarkuję pierwey po żonie wściney.

BURMISTRZ *na stronie.*

Tam do diabła; otoż macie sprawiedliwość. *Do Mitosza kłaniając się.* A nie można by to aby bez Visum reperium żony mojej, Pan Podchorąży wielkiey Buławy z parę godzin kota w kardygardzie popasł.

DOMINIK *do Burmistrza.*

Ale za coż Wacpan oskarżasz Pana Podchorążego. On nic nie winien; wszakżeście go na śniadanie sami zaprosili.

BURMISTRZ *z pasją do Dominika.*

Milcz wasze; nie byliście przy tym.

MIŁOSZ *wpatrując się w Burmistrza.*

Musi być piękna żona wścina?

BURMISTRZ *kłaniając się.*

Wielmożny Mości Dobrodzieiu, nie to nie należy do sprawy.

T O M III.

F

M I Ł O S Z.

Ważć nierozumiesz tego. Różność urody
sudzey tony zaostrza karę lub zwalnia. —
Gdzież oni są teraz.

BURMISTRZ *wskazując palcem ku drzwiom
gospodarskiej izby; z cicha mówi.*

Tu są .. tu ...

M I Ł O S Z.

Wnet ja porozumiem te wszystkie oko-
liczności. *Idzie ku drzwiom.*

BURMISTRZ *kłaniając się.*

Poydę ja z Jegomością.

A ktoż waści broni?

B U R M I S T R Z.

Bo mi Pan Podchorąży wielkiej Buła-
wy szubienicą pogroził, gdybym się śmiał
krokiem zład ruszyć.

M I Ł O S Z *na stronie.*

Co za bultay. *Głośno.* Powróci on tu
sam zaraz: zluźniemy go. *Idzie.*

DOMINIK *chwytając za nogi Mitosza.*

Łaskawy Panie! racz mię wysłuchać.

M I Ł O S Z.

Słucham cię: czego chcesz staruszk,

DOMINIK z zasmuconą twarzą.

Wacpan Dobrodziey będąc Adjutantem przy Jaśnie Wielmożnym Regimentarzu, masz reiestr całego woyska. Czy też nie ma iakiego w nim Floryana...

MIŁOSZ *podchwytiując go.*

Moy staruszk! postać twoja przyjemna uymnie mię. Zapewne się pytasz o syna swego: chciałbym z serca żądaniu twemu dogodzić; ale nie mogę; bo u nas w woysku Piotrów, Pawłów, Janów, Floryanów niezmierna iest liczba. *Do Burmistrza.* No.. prowadź mię waść do sweiey żony.

BURMISTRZ *idący wprzody zastanawia się przed drzwiami.*

Ale Wielmożny Panie trzeba na niego z nienacka napaść, i zaraz go dyzarmować, aby mię nie pobił.

M I Ł O S Z.

Dobrze, dobrze. *Odchodzą.*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

E s

AKT DRUGI.

Teatr reprezentuje izbę Rozyny w tyle Domu Burmistrza, w ktorey znajduje się stolik, stołki i nieco sprzętów.

SCENA I.

ROZYNA *w żałobie siedzi przy stoliku; na lewicy ręce maiąc sklonioną głowę, w drugiej chustkę trzymając.* **ELZBIETA.**

ELZBIETA *stoiąc przed Rozyną.*

I pòkiz tego będzie? nie dosyc że jeszcze dla ciebie sześćoletney męczarni! chcesz się już do reszty wyniszczyć. Nie mniemay Rozyno, iakoby już nie było na ziemi dla kogobys się oszczędzać powinna. Masz oycę

staruszka, co życie tylko dla ciebie. Masz mnie przyjaciółkę swoją, którąm się wszystkiego dla przyjaźni twojej wyrzekła. Odstąpiłam rodzinie mojej; wzgardziłam ręką oblubieńca jedynie dla tego, abym z tobą rozłączoną nie była; dla tego, że cię kocham *Rzucając się na Rozyne.* Ah Rozyne! zastanow się przecież nad stanem ojca.. nad sobą samą.. i jeżeli godzi mi się wymówić, nad ofiarą prawdziwej przyjaciółki swojej.

ROZYNA *podnosząc się z krzesła.*

Ah! Elżusiu.. kochana Elżusiu.. znam się na miłości ojca mojego tak iak i na drogiej ofierze twojej, którąś uczyniła dla mnie. Ale też i ty równie znając się na sercu moim, nie możesz mię o nieczułość albo o niewdzięczność posądzać. Dusza moja czystą przyjaźnią zaięta, cała na łonie waszym spoczywa. Kocham i czezę schronienie iey. Coż nad to więcej uczynić mogę.

E L Z B I E T A.

Rozwesel się, a uszczęśliwisz nas.

E 3

R O Z Y N A.

Jestże w mey mocy nadać wesołość smutkiem przeniknionemu sercu. Przewrotność to tylko ludzi zepsutyh umie wszystkim uczuciem fałszywa dać postać. Smieją się, gdy serca ich płaczą. Udaią smutek; będąc ukontentowanemi wewnątrznie z nie-szczęścia tego, co go to niby żałują. Najszczerzszemi wreszeie mienią się bydź przyiaciołmi w ów moment, kiedy pod świętą przyiaźni cechą ukrywaią żądło nienawiści i zdrady. Skażony ten przymiot niedostępny mi iest; bo powlerzchowność moja zawsze iest w zgodzie ze stanem serca moiego.

E L Z B I E T A.

Coż si przydzie z tego nieużytecznego smutku; kiedy natężona dotkliwość iego nie wzbudza w tobie żądry do odzyskania straconego szczęścia.

ROZYNA *z oburzeniem się.*

Ah! Elżbieto... nie rozdrażniajże przynajmniey srogosci smutku moiego... Tym on okrutnieyszym iest! kiedy go iaka do-technie ponęta. Wyrzekłam się inż wszele-

kiedy... gdy mój los bez nadziei pozostał.
Milcz więc! chce umrzeć w ugłaskanej bo-
leści.

— E L Z B I E T A.

Jak to?.. Ktoż cię upewnił o tym, iżby
Floryan już nie żył.

ROZYNA *z deklamacją.*

Co czynisz Elżbieto... nie wspominaj
mi tego nieszczęśliwego!.. Niech nie mie-
szam smutku występnego może... z czystą
ofiara żałości! którą zwłokom męża mojego
słusznie oddać powinnam.

E L Z B I E T A.

Nie splamisz się cnotliwa Rozyno pa-
mięcią Floryana; gdy on mimo najusilniey-
szych twych starań zapomnienia o nim, pa-
nuie zawsze w twym sercu. Jest to dzieło
nadprzyrodzonej mocy.— Kochając go; za-
woła oycza zaślubiłaś się z Izydorem. Po-
słuszeństwa cnotę wsparłaś cnotą nayszczy-
ciwszego z narzuconym ci mężem pożycia.—
Już on zginął.. Oddaj mu łzy wdzięczno-
ści, bo znał się na tobie.— Lecz będąc już
wolną, nie krzywdź Floryana.. Nie lekaj

E 4

się myśleć o nim; bo go nieuważny obowiązek oycy na czas z tobą rozdzielił; ale Niebo złączyło was wiecznie.

R O Z Y N A.

Przebóg! nie wspominayże o nim...
Ah!.. on bez wątpienia już dawno nieżyje.

E Ł Z B I E T A.

O tym też ci wiedzieć potrzeba, abys przynajmniey nie darmo płakała. — Słuchay, odkryję ci pewny mój zamysł; lecz pierwey day słowo, iż mi się wcale sprzeciwiać nie będziesz.

R O Z Y N A.

Ah! miej litość nad stanem moim! wszakże okropność jego naylepiej jest tobie wiadoma. — Nie mów mi nic. Niechę słyszeć o niczym... Niech strumień żałości moiey płynie spokojnie tą ciszą, przez którą go natura i uczciwość prowadzą.

E Ł Z B I E T A.

Sen głaszczący cię, ale niebezpieczny, powinna zgwałcić przyiaciołka twoja. Chociażby i przeciwko twej woli, wykonam na-

tychmiast ułożenie moje. Poydę w świat
Floryana szukać.

R O Z Y N A.

Ah! .. co słyszę nieszczęśliwa ... *Skłaniając się na Elżbietę.* Elżusiu! droga isto-
to przyjaźni prawdziwey.. wspaniałość twej
duszy innego warta iest losu, nie abys same
tylko łzy i wzdychania! odbierała za nią.
Niestety! nie ma ci się czym lepszym wy-
płacie nieszczęśliwa Rozyna. — Lecz porzuc
zuchwały ten zamysł. Płec twoja.. lekli-
wość i słabość iey.. błąd ustawiczny i o-
kropny.. niepewność zamiaru.. rozdzielenie
się wreszcie nasze.. Ah! coż za uczucia! co
za gwałtowne walki! rodzą się w sercu
moim... Nie Elżusiu.. iuż on nie żyje...
Porywając się iakby z letargu. Coż czynię!..
iakże niebacznie zbliżyłam się nad brzeg
pożerającej przepaści.. Elżusiu! odstępmy
od niey.. Poehłonie mię ona. Lecz z długa
moiego Izidorowi wypłacę się pierwey,

E L Z B I E T A.

Nie, ia tego czekać nie będę. Dosyć
iuż wycierpiałas, Sześćioletnia katownia! i

naycierpliwsze bez występku i skargi wytrwanie w niey doskonały już twej cnoty obraz wydały. — Jutro pożegnam cię. Spokojnie w moją zapuszczę się podróż, zostawiając cię na łonie troskliwie nad tobą czuwającego oycy. Ty zaś nawzajem nie lękaj się o mnie. Moc świętey przyjaźni prowadzić mię będzie. Od przypadków zastąpi mię. A może i krokom moim poszczęści.

ROZYNA z *mocną deklamacją.*

Ah! ty byś zaś mię jutro odstąpić już miała... i przez upor niewczesny...

S C E N A II.

CIZ SAMI I MIŁOSZ,

M I Ł O S Z.

Pozwolicie momencik zabawić się z sobą, nim Pan Regimentarz z wałów powróci.

E L Z B I E T A.

Jeżeli się Wacpanu podoba, służyć mu będziemy; ale zabawić go nie iesteśmy w stanie.

M I Ł O S Z.

Gdzież wiecey słodczy znaleźć można?
Jak w tym przenikającym widoku, który na
pięknych, a skromnych waszych maluje się
twarzach. *Do Rozy ny.* Sliczna Rozyne! u-
parłazes się koniecznie zepsuć naydoskonal-
sze dzieło natury w tobie wydane. Albo
czyli chcesz tych wszystkich ukarać! co cię
poznali. — Zamysł natury zapewne był in-
ny, a zatym przeciwność żadna pryestoczyć
go nie zdoła. Oddalże ten smutek od siebie,
co tylko zda się do udręczenia przyjaciół
twoich.

R O Z Y N A.

Mospanie Adjutancie! stan moy zasłu-
guie na litość, nie na żarty.

M I Ł O S Z.

O! gdybyś mi się pozwoliła litować nad
sobą, nayszczęśliwszym zostałbym. Nie
wstydzę się w oczach przyjaciółki twoiey
uczynić ci to wyznanie, bo ani żartuję, ani
podehlebiam ci. Lecz...

ROZYNA *do Elżbiety na stronie.*

Zmiłuy się przerwy ten dyskurs.

E 6

ELZBIETA *do Miłosa.*

Gdzież się podział ten wspaniały Bohater. co tę fortecę od oblężenia uwolnił, i nas wszystkich przy życiu zachował. Może by nam wolno było przynajmniej nogi jego uściskać.

M I Ł O S Z.

To prosty jest żołnierz. Ze iednak wart jest wdzięczności, to pewna: bo wielką zrobił zasługę. — Ale iakiś człek dziki: nietylko że się nie stawia w stopniu szczęścia iego właściwym, lecz nawet kryje się prawie przed ludźmi. — Ah! gdyby to Bohaterstwo przezemnie wykonanym było: umiałbym użyć szczęścia moiego. *Do Rozyny.* Rozyno! Ty byś mię uwieńczyła: a ja szczęśliwym zostałbym.

R O Z Y N A.

Znowu żarty.

M I Ł O S Z.

Prawda, iak widzę żartujesz ze mnie. Ah! Rozyno, ty tęsknisz za kimsiś. O! gdybym przynajmniej wiedzieć mógł o tym,

szanowałbym już tę istotę; drżałbym już nawet przed nią...

R O Z Y N A.

Niemasz iey...

M I Ł O S Z *przerywając.*

Tu w Częstochowey; ale w okolicy iey zapewne być musi. — Słyszałem o twej..

ELZBIETA *podchwytując go.*

Czyż Wacpan nie wiesz? że mąż Rozyny zginął na wałach stawiając się mężnie w jednym naygwałtowniejszym nieprzyacielskim szturmie.

M I Ł O S Z.

Wiem że zginął. Zginionych w fortecy mam już listę u siebie. — Jakże on się nazywał?

E L Z B I E T A.

Izydor.

M I Ł O S Z *z deklamacyą.*

Izydor.. Ah! on iest Bohaterem drugim, wiemy już o waleczności iego. — Przed przyciągnięciem tu ieszcze woyska posiłkowego, był ten szturm straszliwy. Izydor śmiercią swoją zasłonił fortecę; a potem

dopiero Wiernicki ją zbawił. — Ah! na coż
 poglądam... Rozyno! żona Bohatera! two-
 ia to miłość mężtwo wydała. Izydor męż-
 nie bronił fortecy, walcząc pono za ciebie.
 Ty więc współziomków swoich zachowałeś
 od śmierci. — O! dzielna miłości: co niegdyś
 cały nasz ocaliłaś naród! raczyłaś przecie
 jeszcze tę garstkę ludu ocalić.

S G E N A III.

CIZ SAMI I BURMISTRZ.

BURMISTRZ *pozierając.*

Nie masz to Pana Dominika?

R O Z Y N A.

Gdzieś wyszedł mój oyciec.

B U R M I S T R Z.

O bodayże.. mam pilny do niego inte-
 res. *Chce odchodzić.*

ELZBIETA *zatrzymując go.*

Zabaw się Wacpan momentik z nami;
 Pan Dominik powróci tu zaraz.

M I Ł O S Z *na stronie.*

Czy go tu kaci przynieśli; przeszkodził mi. Jakby go się ztąd pozbydź?.. aha. *Do Burmistrza.* Radziłbym waszeci Panie Burmistrzu na krok nieodstępować żony, aby znowu l'odchorąży nie zaprosił się do niey; bo on na nią czekaie.

B U R M I S T R Z.

Zie kata, kiedy ją obaczy; ufortyfikowałem się tak przeciwko niemu, iak gdyby mię cały Regiment Szwedów atakować miał. — Drzwi na rygle pozasuwane; okiennice pozaczypiane; warty z berdyszami i pałkami rozstawione, i kondysa z czarnym podniebieniem od wrót przededrzwi izby moiey sprowadziłem. Niechayże teraz Pan Podchorąży wielkicy Buławy z którey chę strony atak przypuszcza. O..kiedyś mię Wacpan Dobrodziey ten raz od ciosu zachował, nie narażę się już więcey na niego.

M I Ł O S Z.

Obdarzyłem cię więc przyiaźnią najsłotniejszą: pamiętayże mi wywdzięczyc się za nią.

BURMISTRZ *na stronie.*

Aha, to zapewne już będzie coś względem Rezynty. Już chwycił Panosko. *Do Mitosza.* Wszystkie siły moje, i Burmistrzowską nawet powagę na usługi pańskie poświęcam. Ja miarkuję już. *Krzaka.* i upewniam że.. *Krzaka.* Gdyby mi Pan iedną jeszcze łaskę wyświadczyć raczył.

M I Ł O S Z.

Czego chcesz?

B U R M I S T R Z.

Aby Pan Podchorąży wielkiej Buławy o sto mil przynajmniey dziś ieszcze wykomenderowanym był. *Cicho do Mitosza.* A ia za to obaczy Pan iak usłużyć. Już ia rozumiem. *Krzaka che.. che..*

M I Ł O S Z.

Dzisiaj to stać się nie może; bo on iest na ordynansie u Regimentarza.

B U R M I S T R Z.

Albożby to go nie mógł złuzować Wiernicki?

SCENA IV.

CIZ SAMI I WESOŁOWSKI.

WESOŁOWSKI *do Mitosza.*

Już Jaśnie Wielmożny Regimentarz powrócił z wałów.

MIŁOSZ.

Czy jest już w kwaterze?

WESOŁOWSKI.

Jest.

MIŁOSZ.

Poydę zaraz.— A Wiernickiego znalazłeś?

WESOŁOWSKI.

Nie; to jest osoblîwszy człowiek, unika równie przed ludźmi, iak i przed słońcem. Zawsze się gdzieś skryje w ustronie tak dzikie i ponure, iak sam jest. Szukałem go wszędy, i znaleźć nie mogłem.

MIŁOSZ *do Rozyny.*

Przez czas rozmowy Mitosza z Rozyną witała się na migi Wesotowski z Burmistrzem, iakby z sobą w przyiaźni byli.— Potym Wesotowski zbliżywszy się do Bur-

mistrza: ściska go za rękę, i szepcze do ucha. — Burmistrz iak oparzony odskakuie od niego, dziwaczne gesta czyniac.

Pozwolisz mi piękna Rozyno raz ieszcze przynajmniej dziś siebie odwiedzić. Szacunek prawdziwy, który czuję dla ciebie nakazuje mi, prosić cię o to pozwolenie. A boiaźn uczynienia ci najmnieyszey przykrości przestrasza mię.

R O Z Y N A.

Dziś pewne zatrudnienie mieć będziemy, a zatym zechcesz Waspan wybaczyć, iż nie będę mogła mu służyć.

M I Ł O S Z.

Okrutny usłyszałem wyrok. Sentyment moy wprawdzie i w przypadku przełamania go, mógłby mię iakokolwiek wymówić. Lecz abym na twoia nie zasłużył urazę, okaż mi łaskę, odwołaj go.

R O Z Y N A.

Prawdziwie.. nie iestem w stanie...

M I Ł O S Z *do Elzbiety.*

Elzbieto! prosz za mną. Wierney przyiaciołce nie odmówić nie można.

E L Z B I E T A.

Nie mogę żadnym sposobem obligować
oto, bo wiem przyczynę dla której dziś z
nikim widzieć się nie może.

M I Ł O S Z *do Rozyny.*

Zostać mi więc tylko z uszanowaniem
poddac się twoim zakazom. Ah! iak mię
to wiele kosztować będzie!.. Lecz ty tak
chcesz.. to dosyć.— Bądź zdrowa śliczna
Rozyno.

R O Z Y N A.

Nayniższa sługa.

M I Ł O S Z *odchodząc do Elżbiety.*

Adieu.

E L Z B I E T A.

Do nóg upadam.

WESOŁOWSKI *odchodząc za Miłoszem
do Burmistrza.*

Do zobaczyska Mospanie Burmistrzu,
naymilszy moy przyiacielu.

B U R M I S T R Z *po odejściu Wesółowskiego.*

Żeby cię oczy moje nie oglądały już
więcey niegodziwy heretyku. Ale poczmay:
lepiej ia tobie odedrwię iak się do moiey

żony zapędzisz. *Do Rozyny i Elżbiety.* Słuchajcie: Psisko okrutna bestya! na dnie wysokiey kaźzi iak na bateryi iakiey ulokowany, czeka tylko na niego. Skoro się przybliży, cap za gardło! buch o ziemię! har har har har... Dopiero ia z kłiem wypadłszy, ratować go będę. — Raz psa, dziesięć razy dragana. Raz psa, dziesięć razy dragana. — Potym opowiadając tę historyą, z modestyą wspominać będę: iż przez miłość bliźniego Pana Podchorążego wielkiey Buławy zachowałem od śmierci. Znaydę takich, co mię jeszcze za to pochwalą. — A co proiecik nielada?

R O Z Y N A.

Porzuc *Wacpan* ten zamysł naganny. Niewinnego człeka skaleczyć! ohydzić żonę! i samemu się kłopotu nabawić! co za potrzeba.

B U R M I S T R Z,

Oho, uderz w stół, nożyco się odzwą. A wiem, wiem, kruk krukowi oka nie wykołe. — I do *Wacpani* iuż Pan *Adiutant*. *Krzaka che.. che..* Wszystkiescie wy iedaakie. —

Otoż rozkażę zaraz psa jeszcze wygłodzić,
aby mu tym pewniey oczy wydrapał.

S C E N A V.

ROZYNA, ELZBIETA.

R O Z Y N A.

Otoż przyczyna, dla której złe i dobre
kobiety iednakowo obmówionemi są. Nie-
mášz iey w naturze, ale w zepsutym sercu
człowieka rozkrzewiła się aż nadto. Nie
widzę nie znaczy niewinność w oczach podey-
rzliwego... Skazy wzroku iego rzucając swe
tienia na wszystkie przedmioty, okazują
mu plamy na samey cnocie nawet. Zwie-
dziony niebaczny; uznaje je za istotne. Z
apodobaniem zaraz ogłasza, powiększa w
nayszkaradnieyszą nakoniec przetwarza je
postac. O Nieba! przez coź świętą niewin-
ności szatę, własną waszą ręką utkaną,
błąd człowieka w haniebną zmienić potrafi!

E L Z B I E T A.

Nieochraniaj ludzi, nadto oni występ-
nemi są, abyś ich błędem nieznanym okry-
wać miała.

R O Z Y N A.

Tym prędzey więc od tego gatunku Je-
stestw oddalić się chcę.

E L Z B I E T A.

Dokąd?.. czy jest gdzie iaki zakątek
świata wyięty od tey zarazy. Ah! Rozyno..
dawno już złość całą ziemię zalała. Drogie
skarby serc czystych nie nayduią się nigdy
w obfitości na żadnym iednym mieyscu. Roz-
prószone są po świecie iak drobne ziarna
złota po nayogromniejszey wielkości góry.
Wiele nikczemnego błota odrzucić; wiele
potu do odrzucenia go na bok wylać; wiele
zdrady doświadczyć potrzeba w błyszczącej
podobieństwem szacownemu kruszcowi pe-
włóce, nim do owego rzadkiego ziarna zło-
ta dobrać się przyidzie.

R O Z Y N A.

I czasem bywa, że sama nawet ostatniey
odrobiny nadzieia oszuka.

E L Z B I E T A.

Niestety! często się i to zdarza.

R O Z Y N A.

Dla tego też, że ślepe szczęście tylko to

skarby znajduie, a nie zasługa, wolę w ci-
chości na zimnych głazach pasmo dni moich
potargać, niżli w upadającej, a niepowney
pracy zbliżać się do końca moiego. Elźbie-
to! ty mię kochasz, a zatym chęci moiey
zasmucić nie możesz. Prócz tego nieszczę-
śliwa ma prawo do otrzymania małego przy-
najmniey żądania. Wstrzymay się na mo-
ment z zamysłem szukania Floryana, a dziś
ieszcze wyiedziemy z tego piekielnego zgieł-
ku, do naszej cichey zagrody.

E L Z B I E T A.

Jakąż tam znajdziesz szczęśliwość. Czyż
niewiesz? iż zażdrość, potwarz, wszystkie
zgoła złości i nayliczszego już stanu po-
chłoneły serca.

R O Z Y N A.

Mniey ludzi jest na wsi, a zatym i żą-
dła ich mniey są licznemi. Ze dwoyga więc
złego iedno mnieysze wybierać należy. Nie
sprzeciwiayże mi się proszę cię: ile że i pra-
tensye Miłosza męczyć mię już zaczęły.
Dziś, dziś ieszcze uciekaymy stąd.

S C E N A VI.

CIZ SAMI I DOMINIK.

D O M I N I K.

Same tylko iesteście : ja prędzey z miasta nie mogłem powrócić.

E L Z B I E T A.

Mieliśmy też przecie i gości : był Pan Adjutant, i Pan Burmistrz szukał tu Wacpana po jakimś interesie.

D O M I N I K.

Widziałem się już z nim. *Do Rozyny.* Moje dziecię : czemu się też czym nie rozerwiesz. Zawsze smutna! zawsze zamysłona..

R O Z Y N A.

Czyż mogę lepiej się bawić? iak gdy jestem z tobą mój Oycze kochany, i z Elżusią prawdziwą przyjaciółką naszą.

D O M I N I K.

Wierzę moja kochanko, że cię nie nudziemy; ale też rozwestlić cię niezdolnemi iesteśmy. Gdybyś się też gdzie przesła.

E L Z.

E L Z B I E T A.

O.. Mospanie Dominiku inne są między nami projekta i spory, w których Wacpan chyba pogodzić nas możesz. Pozwolisz mi Rozyno odkryć ie.

R O Z Y N A.

Czyż nie wiesz? że ia przed oyssem moim nic tać nie zwykłam.

D O M I N I K.

Coż to takiego? bardzom ciekawy.

E L Z B I E T A.

Oto ponieważ Rozyna w wolnym znalazła się stanie, przedsięwziętkam zostawić ją na łonie czułego oycy, a sama puścić się w świat Floryna szukać. Jakoż niespodziewam się, aby was ten zamysł moy obrazić miał. Rozyna zaś wystawując mi różne niebezpieczeństwa zamiaru tego, ociaga się ze swym nań zezwoleniem, a nagli: ażebyśmy ztąd dziś ieszcze wyiechali do domu.

DOMINIK *z rozrzewnieniem.*

O duszo poczciwa! szanowna prawdziwey przyjaźni Istoto! co dla uszczęśliwienia przyjaciółki swey zapomniałaś o samey se-

T O M III,

F

bie... Elżbieto! wspaniałość i dobroć twoja przestraszyła mię wielkością długu mależącego ci od nas.

E L Z B I E T A.

Przepraszam Wacpana Mospanie Dominiku wcale nie zapomniałam o sobie. Bo gdyby się poszczęściło zamiarowi mojemu, wracając Floryana Rozynie, całą oraz moją odzyskałabym szczęśliwość.

RÓZYNA *z czułością wielką.*

Ah! iakże ci już i odpowiedzieć na to..

DOMINIK *tęż ocierając.*

Łzami chyba tylko wdzięczności.

E L Z B I E T A.

Porzućmy to wszystko, co nas tylko rozrzewnia, a myślmy raczej o poprawie losu naszego. Czekamy Wacpana decyzji.

D O M I N I K.

Nie tykając wcale zamysłów twych wspaniała Elżbieto! gdy są względem innie nadto delikatnemi. Nie radziłbym ci córko moja kochana oddawać się samotności.

R O Z Y N A.

Ah! pragnę iey.. niepokoju tutejszy 6-
durza mię.

D O M I N I K.

Prawda, że zgiełk mieyski dla ludzi
szczęśliwych: grobem iest szczęśliwości ich.
Ale dla skołatanych smutkiem wewnętr-
nym tysiączne skutki wydaie rozbiiające za-
starzały obłok ciężących boleści.

R O Z Y N A.

Jakkolwiek bądź, zawsze on dla mnie
nieznośnym iest. Chcieycie się do proźby
moiey przychylic, wyiedźmy ząd.

DOMINIK *do Elżbiety.*

Jakież? pono oboie nie mamy chęci
sprzeciwiać się iey.

E L Z B I E T A.

Ha.. dobrze.

R O Z Y N A.

Dziękuję ci Oycze kochany za tę po-
wolność, i tobie Elżusiu. Więc paknymy
się zaraz, aby dziś ieszcze wyiechać.

D O M I N I K.

Moia kochanko, nie zatrudniay i siebie

F a

i nas tak nagłym wyjazdem. Nimbyśmy się wybrali, dzień zeydzie. A pod noc puszczac się w drogę niebezpieczno, ile że włóczęgów teraz pełno iest wszędy. Lecz dziś ze wszystkim przygotuymy się w podróz, a jutro równo ze dniem wyiedziemy.

R O Z Y N A.

Nech będzie i tak. *Do Elibiety.* Poydźmysz się pakować.

S C E N A VII.

DOMINIK *sam.*

Tesknę do domu, ażeby wszystko na co spojrzę przypomniało iey żywicy stratę Floryana! kiedy on dawno iuż może z tym marnym rozstawszy się światem... wołny od miłości.. lituje się tylko nad nią — Cnotliwy młodzieńcze! jeżeli iuż do świętey przeniosłeś się krainy?.. a zatym gdy zapomniałeś iuż o naywdzięczniejszey przyłązi mey córki... zapomnietylś i o nienawiści! na którą iey oyciec zasłużył... Ty

dla Rozyny przeznaczonym byłeś.. ty z nią szczęśliwym bydź miałeś.. iam wszystko to zgwałcił. — O! gdybyś mógł żywy oglądać mię teraz? odpuściłbyś mi i tak lubo sro-
dze skrzywdzony!... Odpuściłbyś.. dla ża-
łości moiej... Ah! z jakimże pragnieniem
zchodziłem cały ranek dzisiejszy, dopytu-
jąc się o Floryana, czyliby go między tym
ludem woiennym nie było.. Z jaką chciwo-
ścią zaglądałem w twarze przechodzących
żołnierzy.. z jakim drżeniem! zatrzymywa-
łem podobnych do niego. — Niestety! nie-
wczesna żądza ustawicznie oszukiwała mię:
a błąd mój pierwiastkowy i tu mnie ukar-
ał. — Powróciłem wysmiany wszędy od
nieczułego żołdactwa. Czeka podobny los
i na Elżbietę jeżeli go szukać zechce?...
bo ludzie radzi śmieją się z nieszczęściem
bliźniego. — Lecz czyliż mam prawo zadzi-
wiać się nad nierozsądkiem człowieka?.. gdy
sam gorzej zbłądziłem. — Wybaczymy so-
bie nawzajem; bośmy wszyscy iednacy.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

F 3

AKT TRZECI.

Teatr reprezentuje kwaterę Regimentarską.

SCENA I.

BITNICKI OBLĘZNICKI.

OBLĘZNICKI.

Szanuję we wszystkim zdanie Waszego Dobrodzicia; lecz w tym punkcie przyznam się, że wcale inaczej myślę.

BITNICKI.

Ale mój Komendancie zastanów się iak wielką zasługę zrobił Wiernicki.

OBLĘZNICKI.

Chociażby zrobił i dwa razy jeszcze więcej; z prostego żołnierza na stopień Kapi-

tana wywyższać go, i tak byłoby nadto. —
Mości Regimentarzu Dobrodzieiu! przecież
to i moje zasługi nie pospolitemi są, i sta-
rożytność familii mey znana iest: iednakże
z siwym aż włosem doczekałem się ledwie
rangi Pułkownika.

BITNICKI.

Mniemam, iż *Wacpan* i moim też nie za-
przeczysz zasługom.

OBLEZNICKI.

Bez podchlebstwa z uszanowaniem ię
uznać.

BITNICKI.

Otoż *Wacpanu* powiem: że ani ja, ani
Wacpan nie zrobiliśmy w całym życiu na-
szym nic podobnego do zasługi *Wiernickie-*
go. — Mospanie *Kommendancie!* powiedz-
my sobie prawdę. Królowi nadskakiwać,
przed Ministrami się płaszczyć, kilka funk-
cyi odbyć, wreszcie w woysku iakim dy-
stygnować się znaczeniem, iest to usługi-
wać sobie samemu. Lecz życie na hazard
wystawić, i dzielnym mężstwem kilkanaście

tysięcy ludzi od zguby zachować; to dopiero prawdziwa dla oyczyzny usługa.

O B L E Z N I C K I.

Nie przeczę, że wart nadgrody; ale..

B I T N I C K I.

Ale.. jakiej naprzykład?

O B L E Z N I C K I.

Na *Wachmistrza* dość by go było kreować, ile że niewiadomo jakiej kondycyi jest człowiek.

B I T N I C K I.

Wierz mi *Waspan*, że szlachcie; gdyś się w oczach moich byś nim okazał.

O B L E Z N I C K I.

Tak prędko by zaś mógł wywieść procedencją z klevnotu szlacheckiego?

B I T N I C K I.

Wywiodł ją na plac bitwy, bo miecz jego gromiąc nieprzyjaciół zaćmił cały blask pompy nadywającej się w batalii szlachty, która po większej części nypierwey i nypredzey haniebnie uciekła.

O B L Ę Z N I C K I.

A.. chyba że tak. Toć się sam zrobił szlachcicem.

B I T N I C K I z *żywością.*

Mospanie, prawdziwszym jest ten chłoppek szlachcicem, co właściwe stopniowi temu cnoty i usługi krajowe pełni! niżli który za pieniądze, lub jaką podłą intrygę do tej godności dochodzi.— Więcej powiem Wacpanu: zacniejszym jest nawet od tego rodowitego szlachcica, który stawszy się zdraycą oyczyzny! albo zbrodniem! nic nie ma za sobą prócz tej tylko nikczemney pychy: iż przodkowie jego godnemi byli.— Coż Wacpan na to odpowiesz?

O B L Ę Z N I C K I.

Nic, bo to jest za nadto delikatna materya.

B I T N I C K I.

Wcale nic nie ma delikatnego: gdyż szlachectwo nie jest żadną tajemnicą wiary ani starego ani nowego Testamentu. Podobieństwo tylko z niego do chrztu mieć można.— Człowiek urodzony z chrześciańskich

F 5

rodziców nie stać się przeto Chrześciani-
nem, aż osobiście się ochrzcą. Otoż i szlach-
cie ażeby prawdziwym został szlachcicem,
pełnić powinien te cnoty koniecznie, za któ-
re przodkom jego szlachectwo dano. Każdy
więc człowiek chociażby pokolenie jego
nie nabywało się nawet przy stwarzaniu
pięknego tego znamienia, nie zaprzeczone
do niego ma prawo, iak skoro poczeiwym
jest, i robi iaką niepospolitą oyczyznie,
lub powszechności usługę.

O B L E Z N I C K I.

Może...

B I T N I C K I.

Nie może, ale tak jest prawdziwie. —
Wszak wiesz Wacpan, iż źródło szlache-
stwa wypłynęło z wojny. Którzy byli męż-
nemi i wiernemi oyczyznie, tych uzacniono
szlachectwem. Zbiegów zaś i zdrayców za-
stawiono w hańbie. — Oy Mospanie! gdyby
podług tey pierwiastkowej ustawy szlache-
stwa słuszna wymierzyła się sprawiedliwość,
z ostatniej tey batalii w zamianę Wiernie-
kiego, wielu herbowych poszłoby do cepa

O B L Ę Z N I C K I.

Niech i tak będzie. — Jednakże Pan Wiernicki Częstochowskim Komendantem bydź nigdy nie może; choć to tak prędko Kapitanem zostanie. Bo konstytucya...

BITNICKI *podchwytując go.*

Zapewne, bo ręczę Wacpanu, iż w krótcie wyżej ieszcze awansować będzie.

O B L Ę Z N I C K I *z przekąsem.*

Szczęśliwy.

B I T N I C K I.

Dołoż Wacpan za zasługę.

O B L Ę Z N I C K I.

Z przeproszeniem Mości Regimentarzu Dobrodzieiu! awans Pana Wiernickiego tak nagły, czy nie uszczerbi sławy Wacpana Dobrodzieia?

B I T N I C K I.

Naprzykład, w czymżeby to?

O B L Ę Z N I C K I.

Bo Król i naród te sławne zwycięztwo iemu przyzna.

BITNICKI.

Bez wątpienia, i słusznie. Gdyż on go otrzymał.

OBLĘZNICKI.

Przecież tak nie bywało nigdy.

BITNICKI.

Prawda, dla tego też w woysku naszym o Bohaterach nie słyhać, że żołnierze cuda mężstwa czynili, a Komendanci za nie odbierali nadgrody i chwałę. Ja nie iestem podłym ani przywłaszczac sobie zasługi cudzey, ani też zacierać iey niechęć. Przestaie na tey sławie, iż dla dobrego żołnierza sprawiedliwym iestem.

SCENA II.

CIZ SAMI I MIŁOSZ.

BITNICKI *do Miłosza z niecierpliwością.*

Coż się dzieie z Wiernickim.

MIŁOSZ.

Niema nic złego. Byłem z Regiments-Felczarem u niego; examinował go, i po-

wiedział mi, że nie jest chorym; grubą tylko iakowąś cierpi melancholia.

BITNICKI.

Cożby to było takiego.

MIŁOSZ.

Dociec tego nie można. Chcieliśmy go rozweselić: żartowaliśmy z nim, ale on za ledwie słowo do nas przemówił.

OBLĘZNICKI *na stronie.*

Musiał się chłop załęknąć, iż go oficyer z Doktorem odwiedza, i ięzyka w gębie zapomniał.

BITNICKI.

Dziwna rzecz.

MIŁOSZ *do Bitnickiego.*

Kuryer do Warszawy już czeka.

BITNICKI.

A dobrze, zaraz go wyprawię. *Odchodzi.*

S C E N A III.

OBLĘZNICKI, MIŁOSZ.

OBLĘZNICKI.

Czy wiesz Wacpan iak Jegomość Pan Regimentarz Wiernickiego awansować umyślił?

M I Ł O S Z.

Zapewne go oficyerem zrobi.

O B L Ę Z N I C K I.

Nie dość że oficyerem; lecz w iakiej randze ieszcze.

M I Ł O S Z.

Ey.. choćby mu dał i kapitaństwo, nie zażdrozczę mu, kiedy nie zażdrościłem i w ow czas, iak na piorunujące Szwedzkie szeregi wpadał.

O B L Ę Z N I C K I.

A.. toć iuż wiesz Wacpan, iż Kapitanem ma zostac.

M I Ł O S Z.

Tak się domyślam.

O B L Ę Z N I C K I.

A onże wie iuż o swoim szczęściu?

M I Ł O S Z.

Wcale nie wie, i Wacpan dobrodziey zatrzymay przy sobie ten sekret, aby się przed czasem nie dowiedział o nim Wiernicki. Bo Jmć Pan Regimentarz dla sprawnienia w nim tym mocniejszego ukontento-

wania chce go niespodziewanie spotkać z tym darem.

OBLEZNICKI *powtarzając z przekasem.*

Dla ukontentowania z darem... *Na stronie.* O... chłop to uczucie. *Do Mitosza.* Nie ostrzegaj mię Wacpan, nie powiem o tym nikomu: miałbym też właśnie co głosić. — Kiedy więc jeszcze nic nie wie? nie zawadziłoby może Jeśpanu Regimentarzowi remonstrować, że go chce nadto obdarzać: bo iak dla niego i ranga *Wachmistrza* wielkim byłaby darem.

M I Ł O S Z.

Może i to bydz.

O B L E Z N I C K I.

Coż to? iak uważam ta okoliczność dla Wacpana obojętną iest.

M I Ł O S Z.

Bo nie ia awansować mam.

O B L E Z N I C K I.

Mospanie, punkt honoru mocniejsze wrażenie nad awans sprawić powinien.

M I Ł O S Z.

Czyż to moy honor ma splamić? że
Wiernicki Kapitanem będzie?

O B L Ę Z N I C K I.

Wszystkich Wacpanów skrzywdzi, przed
któremi weźmie tę rangę.

M I Ł O S Z.

Takim więc sposobem niktby i za nay-
większą zasługę nadgrodzonym bydź nie
mógł. Dziękuję za takie prawodawstwo. —
Wspanialszy to Moś i Komnendancie awans,
kiedy nie z kolei.

O B L Ę Z N I C K I.

Gdyby to dla Wacpana te szczęście bły-
sneło; to co innego: boś ślacheic, i officye-
rem już iesteś.

M I Ł O S Z.

Coż czynić? kiedy się Bohatyrstwo nie
pознаło na godności naszej. — Eh. . porzuć-
my tę obłudę. — Mnie inne czucia zajmują.
Wzdycha.

O B L Ę Z N I C K I.

Coż to Wacpanu? wzdychasz. Gdyby

to nie w Częstochowie było; bodaybym cię nie posądził, żeś się zakochał.

MIŁOSZ.

Alboż tu kobiet nie ma?

OBLEZNIKI.

Jak teraz, nie sędzę, aby iaka była w któreybyś się podług swey rangi zakochać mógł.

MIŁOSZ.

Czyżby to jeszcze i miłość miała swą rangę? Ah! ona sama z siebie jest naygodniejszą! iak skoro niewinna. Nie dręcz mię Wacpan Dobrodziey, tu zakochałem się .. tu ..

OBLEZNIKI.

W kim?

MIŁOSZ.

W cnotliwej i śliczney kobiecie.

OBLEZNIKI.

Mnieysza o to: ale iak się nazywa?

MIŁOSZ *z zapętem.*

Co za rozum! co za uprzejmość! z iey twarzy wygląda...

O B L Ę Z N I C K I.

A coż to za nudny człowiek! nie pytam się o nic, tylko co jest za iedna?

M I Ł O S Z.

Zapewne ią znasz Wacpan Dobrodziey, śliczna iak anioł.

O B L Ę Z N I C K I.

No no.. iakże się nazywa?

M I Ł O S Z *z uczucism.*

Rozyna.

O B L Ę Z N I C K I.

Coż daley?...

M I Ł O S Z.

Wdowa iest.

O B L Ę Z N I C K I.

Ale coż daley?..

M I Ł O S Z.

O czymże ieszcze więcey Wacpan Dobrodziey chcesz wiedzieć?

O B L Ę Z N I C K I.

O nazwizku, herbach, familii, urzędzie, i majątku iey.

MIŁOSZ.

O tym wszystkim nie badałem się by-
najmniey, bo to do prawdziwey miłości
wcale nic nie należy.

OBLEZNIKI.

I iakże, na samym tylko imieniu Rozy-
ny skończyć się ma?

MIŁOSZ.

Otoż to iest, w czym łaskę Wacpana
Dobrodziecia pozyskać chciałbym.

OBLEZNIKI.

A to w jakim sposobie.

MIŁOSZ.

Jako znany i poważany w tym krajem,
czy byś się też wdać nie raczył, aby Rozy-
na nazwisko moje przyięła.

OBLEZNIKI.

Dawnoś Wacpan krew puszczał?

MIŁOSZ.

Albo co?

OBLEZNIKI.

Bo zda mi się, że coś iak w malignie
gadasz,

MIŁOŚĆ.

Domyślam się co to znaczy. — Ah! Mospanie Komendancie; możesz bydź co zacniejszego i powabniejszego w kobiecie? jak gdy cnotliwa jest, a Rozyna i piękna jeszcze do tego. — Jeżeli zaś o to tylko idzie, że jest córką sołtysa? Upewniam Wacpana Dobrodzieia, iż przez zaślubienie się ze mną przybrane znamie szlachcianki będzie iey bardzo do twarzy.

OBLEZNIKI.

O nie... przepraszam; iako żywo; zawsze to trąci nienaturalnością.

MIŁOŚĆ.

Co?... powierzchowności nasze: ah! prawda.

OBLEZNIKI.

Nie nie, podłe urodzenie żony okryte męża godnością.

MIŁOŚĆ.

Nie krzywdźmyż przynajmniej Natury, bo ona dla wszystkich iednakową jest matką. — Mowmy po naszymu. — Rozyna sama z siebie iakby szlachcianka iuż jest: bo gdy-

by Izydor mąż iey w terazniejszym obleżeniu na wałach nie zginął był? za dzielne mężtwo bez wątpienia nobilitowanym by został, a zatym wraz z nim i ona.

O B L E Ż N I C K I.

Czy to iest wdowa po Izydorze?

M I Ł O S Z.

Tak iest.

O B L E Ż N I C K I.

Nie źle sie bił.

M I Ł O S Z.

Jakżeż? powszechnie mówią, że mężną ofiarą życia swego zachował lud tuteyszy od rabunku i śmierci.

O B L E Ż N I C K I.

Tak, zasłużył na wdzięczność.

M I Ł O S Z.

A więc i na Nobilitacyą.

O B L E Ż N I C K I.

O...wierzę, Wacpan szlachectwem tak. Jesteś gotow frymarczyć, iak Cygan kradzieżą.

M I Ł O S Z.

Lecz dla poczciwych tylko. — Mogęz so-

bie podchlebiać o łasce Wacpana Dobrodzieia... iż...

OBLĘZNICKI *przerywając mu.*

Proszę reszty nie kończyć, bo mię konwulsyc porwą. Każ sobie pierwey krew puścić młodziku; a dopiero...

MIŁOSZ *przerywając mu.*

Ale...

O B L Ę Z N I C K I.

Ale.. nie słucham, nie słucham, i uciekam od Wacpana iak od waryata. *Odchodząc na stronie.* Poszaleli oba z Regimenterzem.

S C E N A IV.

M I Ł O S Z *sam.*

Obrzydła poczwaro! tobie by to raczy należało się krwi z garniec upuścić, i łeb cały ogolić. — O! dziki przesądzie; z twego to wszetecznego łona ta obrażająca wylęła się wzgarda, a zaraźliwe icy tchnienie! zatruiło nayistotniejsze życia ludzkiego pobudki. — Jazbym dla caczego bałwana py-

chy! wyrzecz się miał rozumu i miłości...
Jażbym miał gwałtem odwracać oczy od
zniewalającego uśmiechu natury.. dla wy-
stępney buiaźni uroionego spodlenia się.—
Ah! czyste natchnienia natury nad wszyst-
ko są nayzaeniesze.— Rozyno!.. coż są
skarby całego świata przy cnocie twoiey ..
Co są wszystkie powaby .. względem uczu-
ciów moich, iakiemi pałam do ciebie..—
Niestety! ty iednak iak uważam stronisz
odemnie: lękaiąc się zapewne stanu moiego,
w którym pospolicie rozpusta ze wżgardą
wykonywaną bywa. Ah! nie iestem ia ta-
kim. Kocham się szczerze, i znam się na
zacności twoiey. Czas cię o prawdziwym
szacunku moim przekona. Zakazałaś mi
bydź dzisiay u siebie; przerażam się wiel-
kością ofiary tey! ale ją wypełnię, dając ci
pierwszy dowod uszanowania mego dla cie-
bie. Ty zaś za to łaskawiey na mnie iatwo
poglądać będziesz.

S C E N A V.

BITNICKI, MIŁOSZ.

BITNICKI.

Odszedł to już Pan Komendant.

MIŁOSZ.

W strasznym gniewie rozstał się ze mną.

BITNICKI.

Pewnie dysputowałeś z nim o zasłudze
i nadgodzie Wiernickiego.

MIŁOSZ.

Tak jest, właśnie gadaliśmy o nim.

BITNICKI.

Coż tedy?

MIŁOSZ.

Strawić tego nie może, iż Wiernicki z pro-
stego żołnierza Kapitanem ma zostać; lubo
wielkiej zasłudze jego bynajmniey nie prze-
czy.

BITNICKI.

Zważ Wacpan jak to wiele dokazuje
przesąd na sercu człowieka: jak go upadła.
Kochają się w nim iednak czciciele jego,
cho-

choć nad nimi samemi najokrutniej się paszwi. — Bo naprzykład i teraz co to Pana Komendanta dotykać ma? iż Wieraicki na Kapitana awansować będzie: on dla tego w swoim miejscu zostanie. Dreczy się iednak! nie pomniac na to, iż pycha iego szkodzi tylko iemu samemu.

M I Ł O S Z.

Kiedy Pan Komendant poglądał z wałków na groźne nieprzyjacielskie kolumny, bez mała w ów czas nie ustąpiłby był Wiernickiemu całej nawet własney godności na zaręczenie Prorokini iakiej, iż on tylko szczęśliwym bydz może uwolnić go z rąk Szwedów okrutnych.

B I T N I C K I. —

Zapewne, bo człowiek pyszny w przestachu tylko wraca się do stanu natury. — Ale ale, czy dostawiono iuż furaz?

M I Ł O S Z.

Nie ieszcze.

B I T N I C K I.

Czemuż Wacpan nie naglisz na tych łaydaków, aby się spieszyli.

T O M III.

6

M I Ł O S Z.

Wóyt chory czy też piiany odwołue się do Burmistrza. Burmistrz schował się pono; i tak niema nawet naglic na kogo.

B I T N I C K I.

Co to zaś! - aby się Burmistrz uchylać śmiał od usługi w tak nagłej potrzebie; każe ia go zaraz rozumu nauczyć. *Wola.*
Ordynans.

S C E N A VI.

CIZ SAMI I WESOŁOWSKI.

BITNICKI *do Wesołowskiego.*

Idź waść natychmiast przyprowadzić do mnie Burmistrza, domu tego gospodarza.

W E S O Ł O W S K I.

Dobrze, żebym go tylko znalazł. Bo on słysze taki ma nałog, iż w przykrym razie wszystko porzuci, i w komorze się zamknie.

B I T N I C K I.

I coż ztąd? niewiesz to waść iak w takim przypadku postąpić należy. Nie iesteś

to żołnierzem? proś go, aby wyjść rączył z komory.

W E S O Ł O W S K I.

Poproszę ia go pięknie. *Odchodząc na stronę.* Za czuprynę.

S C E N A VII.

BITNICKI, MIŁOSZ.

B I T N I C K I.

Chciałbym się teraz zatrudnić ofiarowaniem awansu Wiernickiemu. Czy urządziłeś już Wacpan paradę?

M I Ł O S Z.

Za pół godziny wystąpić może; w którymże miejscu ma stanąć?

B I T N I C K I.

Zda mi się, że tu niema lepszego placu iak przy palisadach.

M I Ł O S Z.

W samey rzeczy iest ten naypodobniejszy.

Ge

B I T N I C K I.

Utrzymujesz się sekret? dla czego ta parada bydź ma.

M I Ł O S Z.

Oprócz Jeśpana Kommandanta nikt nie wie o iey celu.

B I T N I C K I.

Dobrze, idźże Wacpan niechay się już zbiera. *Patrzac na zegarek.* Ja o samey piątey godzinie wyidę na ten plac palisadowy; niechayże tam zaraz o teyże godzinie i parada przymaszeruje.

S C E N A VIII.

B I T N I C K I *sam.*

Pragnę iak nayspieszniey oddać sprawiedliwość zasłudze Wiernickiego. Ile razy spojrzę na niego, głęboki smutek w którym pogrążony iest! przenika mię. Zdaie mi się iż wątpi o sprawiedliwości moiey. — Ah! chociaźby i tak myślił, nie możnaby mu tego wziąć za złe; bo wie zapewne o tylu zasłużonych porzuconych w nędzy. —

Jużcie spodziewam się, że się zupełnie z osoby mojej wypłacę, ofiarując mu tę rangę, nad którą wyższy do szafowania już nie mam. — O wy! co wiele darów do rozdania macie, iak wdzięcznie świecić wam musi dzień każdy! ieżeli uszczęśliwiasie ludzi. — Lecz ieżeli nieczużkami i niesprawiedliwemi jesteście? możność wasza niekieżemniejsza jest ieszcze nad same ubostwo.

S C E N A IX.

BITNICKI, WESOŁOWSKI, PETRONELLA.

BITNICKI.

Coż to jest za kobieta?

WESOŁOWSKI.

To jest gospodyni tuteysza, żona Burmistrza.

PETRONELLA.

Stawiam się na rozkaz Jaśnie Wielmożnego Pana.

BITNICKI *do Wesółowskiego.*

Oszalałeś waść! iam kazał wołać Bur-

mistrza, a waść przyprowadziłeś mi żonę jego.

W E S O Ł O W S K I.

Zrewidowawszy wszystkie kąty iak tylko można pomyśleć, gdym nigdzie Burmistrza nie znalazł, przyprowadziłem w ostatku żonę, aby się za męża sprawiła.

B I T N I C K I.

Nadtoś waść akkuratny. *Do Petronelli.* Gdzież się mąż podział?

P E T R O N E L L A.

Niewiem gdzie jest. Ale chciey Jaśnie Wielmożny Pan mnie powiedzieć, co masz do rozkazania? a ia może lepiej ieszcze za męża mego usługę.

W E S O Ł O W S K I.

W istocie Jaśnie Wielmożny Regimentarzu słyzałem, że Pani Burmistrzowa sprawy nawet do Magistratu wniesione sama rozsądza.

P E T R O N E L L A.

Jakże nie, czasem się i to zdarza. O.. ia po większey części funkcją męża moiego zastępuję.

B I T N I C K I.

Taką rzeczą mają waszecin iest głupi.

P E T R O N E L L A.

Nie koniecznie, tylko że ani czyta ć, ani pisać nie umie. I dla tego...

B I T N I C K I.

A gadać też przecie umie?

P E T R O N E L L A.

O co w tym, to wątpię, aby kto z nim zrównać się potrafił.

B I T N I C K I.

Nadewszystko może w ten czas, kiedy mu prawuiące się strony kwartami stawiają gorzałkę.

P E T R O N E L L A.

Jak to Jaśnie Wielmożny l'an wie o wszystkim.

B I T N I C K I.

Takim więc sposobem po pilanu rozsądzią sprawę.

P E T R O N E L L A.

Tyle też tylko nadgrody mają za fatygę swoją.

G 4

B I T N I C K I.

Piękna sprawiedliwość! Toć zapewne prawujących się więcey kosztaie gorzałka, niżli kura, lub co podobnego, o co się zapozwają.

P E T R O N E L L A.

A... nie sądz Jaśnie Wielmożny Pan, aby takimi tylko fraszkami zatrudniał się urząd tutejszy. Była tu nie dawno wielka sprawa.

B I T N I C K I.

Jakaż to naprzykład?

P E T R O N E L L A.

Sądzono czarownicę.

B I T N I C K I.

A to ciekawa rzecz. Moia Mościa Pani Sędzino opowiedzże mi tę sprawę.

P E T R O N E L L A.

Opowiem Jaśnie Wielmożnemu Panu dokładniey ieszcze nad tych samych, co ją sądzili. — Na początku tey wiosny wielka była posucha: ztąd padło porozumienie na pewną babę, iż ona musiała deszcz oczarować, aby w okolicy naszej nie padał, ile że właśnie przed tą suszą przegrała była sprawa

wę w Magistracie. Okuto więc babę w kaydany. Zebrał się urząd do sążenia iey i uradzono, aby w tak ważney okoliczności postępując ostrożnie, udać się wprzód do niewątpliwey próby pławienia baby na sławie.

BITNICKI *z niecierpliwością.*

Coż to jest znowu za osobliwszy wynalazek pławienia.

P E T R O N E L L A.

Oto Jaśnie Wielmożny Panie posądzonych o czary obwiązują sznurami, i trzymając końce po obydwóch stronach, puszcza ją na wodę. — Jeżeli niewinny jest? to tonie, a więc ratują go zaraz. Jeżeli zaś czarownik albo czarownica? to pływa po wierzchu: bo takich woda nie przyimie do siebie.

B I T N I C K I.

A to ciekawe doświadczenie. — Coż się stało z tą Babą?

P E T R O N E L L A.

Utoneła.

B I T N I C K I.

I wyratowanoż ją?

G 5

P E T R O N E L L A.

Nie: bo się iakoś wypsnęły sznury z rąk trzymających je, a było bardzo głęboko, nikt więc nie odważył się ratować.

WESOŁOWSKI *na stronie.*

Pięknie udała się próba.

B I T N I C K I.

A to zaś co? poszaleli!

P E T R O N E L L A.

O.. oddała ona za swoje i po śmierci: dusiła nam było, aż ją musieli znowu z grobu wydobyć.

B I T N I C K I.

Trupa!.. z grobu!.. a to co? pewnie ją znowu pławiono.

P E T R O N E L L A.

Nie, bo się z niej po śmierci upiór iuż zrobił. Znalezione pod pachą sierć bydłęca. Łeb więc babie ucięto; tyłem do góry wywrócono; niegaszonym wapnem przysypa-no, i osikowym ią kołem do trunny przybito. Ina tym dopiero skończyła się sprawa.

BITNICKI *z zadumieniem.*

A to co?.. a to co?.. w życiu moim nie

słyszałem jeszcze o takim szaleństwie. Co za prostota! co za niesłychany rodzaj okrucieństwa!.. *Na stronie.* Oni by zapewne gotowi byli i Wiernickiego spławić; szczęśliwe mężstwo jego uznawszy za czary.

P E T R O N E L L A.

Maią tu i teraz oko na iedną młodą kobietkę. Oy... gdybym ja sekretnie nie broniła iey, dawnoby już na próbkę ją wzięto.

WESOŁOWSKI *do Petronelli.*

A czy piękna?

P E T R O N E L L A.

I iak jeszcze.

WESOŁOWSKI *do Bitnickiego.*

Ah! Jaśnie Wielmożny Regimentarzu zlituy się nad tą niewianą kobieciną: wday się za nią, aby iey tak nie spławiono, iak nieboszką babę.

BITNICKI *z oburzeniem się.*

Żarłoki krwi niewinney! bultaie niegodziwi! nie uydzie im i pierwszy ich excess bezkarnie. Pomyślę ja o tym, *Do Petronelli.* Poydź sobie waszcz; niechęć już więcey słuhać tych niepocziwości.

G 6

PETRONELLA *kłaniając się.*

Ale Jaśnie Wielmożny Panie ja będę w
nieszczęściu! jeżeli...

S C E N A X.

CIZ SAMI I BURMISTRZ *zadyszany.*

P E T R O N E L L A.

Oteż i mąż moy...

BURMISTRZ *dą Patronelli ze złością.*

Jestem, jestem: rozmówię się ja potym
z waszeczją. *Do Bitnickiego.* Jaśnie Wiel-
możny Miłościwy Panie! i Dobrodzieiu nasz,
Obok naysolenniejszey protestacyi nayuro-
szystsza wytaczam żałobę przed żrzenicę o-
ka sprawiedliwości Pańskiej; a to na prze-
ciwko Panu Podchorążemu wielkicy Buła-
wy, który oto teraz przed Jaśnie Wilemoż-
nym Panem stoi iak trusia, a skoro wychy-
li się za drzwi, wierutny z niego szalawiła.
Ten idąc w brew prawom powszechnym;
prawom od niepamiętnych czasów, bo ie-
szcze przed założeniem Rzymu w Polsce
ustanowionym: gwałcąc przykazanie Boskie,

i nacyelnieyszã społeczności zasadę do góry nogami wywracając: na czym.. na czym kardynalne fundacie się bezpieczeństwo....

BITNICKI *przerywając mu.*

Zatrzymaj się *waść* na potym z resztą Manifestu, a krótko powiedz, o co rzecz idzie.

BURMISTRZ *z śmieszna miną.*

Zgwałcony iestem.

BITNICKI.

Co to iest? nierozumiem.

BURMISTRZ.

Oto teraz dopiero Pan Podchorąży, któremu w przytomności Pańskiej nie lękam się w oczy spojrzeć: czeladź mi pobił! psa śmiertelnie skaleczył! drzwi do izby wyłomał! i żonę uczciwszy uszy... w ostatku tu przyprowadził.

BITNICKI.

Coż to złęgo? że w niebytności waściney żone do mnie zawołał. Wytłumacz się *waść*.

BURMISTRZ.

Tu że zawołał, to nic Jaśnie Wielmożny Panie choćby tak było. Ale pod tym pre-

textem musiało się zapewne coś zdarzyć contra bonos mores.

WESOŁOWSKI *do Burmistrza.*

Czemuż Wacpan całą swoją żalobę po polsku nie indukujesz, abym się z niey doskonale usprawiedliwić mógł. Ja po łacinie nie rozumiem: co to znaczy ten kawałek łaciński.

BURMISTRZ.

To znaczy, że Wacpanu od moiey żony mores.

BITNICKI *na stronie.*

Umie po łacinie.

WESOŁOWSKI *do Burmistrza.*

Dobrze, dobrze, czy już skończyłeś Wacpan żalobę swoją?

BURMISTRZ.

Alboż to jeszcze mało na Wacpana? piękny mi ptaszek!

WESOŁOWSKI.

Ja z tych wszystkich zarzutów usprawiedliwiam się w krótkości. — Posłany byłem, abym przyprowadził Burmistrza, chociażby go i zamkniętego podług iego zwy-

ezaiu z komory wydobydź. Odwołuję się więc do świadectwa Pana Wiernickiego, który na to patrzył. Iż zbliżywszy się do izby Burmistrza, opadniony nagle zostałem iakąś chołotą uzbroioną w berdysze i pałki. Kiedy się od nich oganiam, pies sukkursując swoich, o kęs mi oczów nie wydarł. W takim przypadku zabrawszy się szczerze do moiey obrony, wybiłem i psa, i te łaydactwo razem. Drzwi potym wysadziłem, a nie znalazłszy Burmistrza, żonę iego przywiedłem. Pan Wiernicki zaświadczy mię, że nie kłamię. Zawołam go zaraz.

B I T N I C K I.

Nie potrzeba, moy wykonałeś rozkaz; to dosyć. *Do Burmistrza.* Jacyż to ludzie? i za co? ważyli się napadać na Podchorążego.

BURMISTRZ *amharasowany.*

A.. to .. to .. dla domowego porządku.

W E S O Ł O W S K I.

O.. iak się on kręci teraz, a nie wspomniał nic o tym w żałobie swoiey. — Oto Jaśnie Wielmożny Regimentarzu żonę zam-

knął, i warty rozstawił, aby do niey nikt nie wszedł. I ztąd to ten mię potkał przypadek.

B U R M I S T R Z.

O... Wacpan umiesz kota ogonem obrócić. Co to?... *Na stronie.* I ono tu przydzie bez ceremonii drapnąć. *Poziera ku drzwiom.*

BITNICKI *do Burmistrza serio.*

Tobie łaydaku zamykać żonę. Czy to jest iaka delikwentka? albo niewolnica twoja. Ona ci we wszystkim iest równą. Że będąc iey mężem wyższą prezentujesz głowę; nie idzie zatym abys swą władzę nad nią aż do niewoli rozciągał. Jeżeli zaś może strzec się rogów, zastawiasz się tą od nich podłością: bądź pewien, że ich tym sposobem nayprędzey dostaniesz. O głupi! głupi.

B U R M I S T R Z.

Przepraszam Jaśnie Wielmożny Dobrodzieiu, niemasz w miasteczku naszym rumnieyszego nademnie

B I T N I C K I.

Wierzę, kiedy takiego osła Burmistrem obrano. — No, posyłałem po waści zapytać się czemu się tak spóźniono z furazem? Czy go już dostawiono.

B U R M I S T R Z.

Nie jeszcze, ale wnet będzie.

B I T N I C K I *ze zgrozą*

Słuchaj, daję ci jeszcze pół godziny frysztu. Jak skoro tego momentu uchybisz? natychmiast Podchorążego, *wskazując na Wesołowskiego*, oto tego samego postawię ci na exekucyi. Idź precz. *Odchodzi.*

WESOŁOWSKI *do Burmistrza odchodząc.*

Przygotujże dla mnie Panie Burmistrze co masz najlepszego w domu; bo ja lubię łakotki.

BURMISTRZ *odchodząc z żoną.*

Przygotuję ci, przygotuję arszeniku.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Teatr reprezentuje plac otwarty w miasteczku Częstochowej, daley w głębi Teatru widać palisady.

S C E N A I.**ROZYNA, ELZBIETA.****R O Z Y N A.**

Laziemy po różnych miejscach iakby szukając tego, czegośmy nie zgubiły. A lepiej by było czas ten obrócić na zupełne przygotowanie się do wyjazdu.

E L Z B I E T A.

Moja kochanko, pół godziny, i już ze wszystkim gotowe będziemy. Tym czasem zdrowiey iest świeżego użyć powietrza.

R O Z Y N A.

Prawda i to, ale ztąd prosto powrócimy już do domu.

E L Z B I E T A.

Jak ci się podoba. Zatrzymajmy się tu jednak momencik, bo na ten plac niebawiąc żołnierze przymaszerowac maia.

R O Z Y N A.

Zkądże ci to przyszło?

E L Z B I E T A.

Podchorąży mi powiadał, że o piątej godzinie ma byc iakaś na tym placu parada. Zapewne się musztrowac będą: przypatrzemy się im.

R O Z Y N A.

Gdzieby się zaś mieli musztrowac. Wojsko znużone, dopiero po batalii. Pewniey że może kogo bic będą.

E L Z B I E T A.

A.. dziękuję ci za to. Jak lubie żołnierzy kiedy się musztruią albo maszeruią, tak cierpiec ich nie mogę kiedy którego przez rezgi pedzą; bo to okrutna kara.

R O Z Y N A.

Ale mu też za to przygrywaią wesoło.

E L Z B I E T A.

Straszna rzecz! nie dość że bardzo biia;

nie dość że publicznie biją! jeszcze iakby
naigrawaiąc się z boleści i wstydu nieszczę-
śliwego winowaycy przygrywaiąc mu skocz-
no. Ey .. iuż ich nie lubię: niechcę się na
nich patrzeć.

R O Z Y N A.

Poydźmy lepiej do domu. *Odchodzą
z wolna.*

S C E N A II.

CIZ SAMI I OBŁĘZNICKI.

OBŁĘZNICKI *w spotkaniu; się uchylaiąc
kapelusza, któremu kłaniaią się Rozyna
i Elżbieta.*

Pewnie kobietki wyszły przypatrzeć się
paradzie.

E L Ź B I E T A.

Nie Mości Dobrodzieiu, powracamy ze
spaceru.

OBŁĘZNICKI *do Rozyny.*

Po kimże w żałobie?

R O Z Y N A.

Po mężu.

O B L Ę Z N I C K I.

Czy zginął? czy umarł?

R O Z Y N A.

Zginął i umarł na wałach?

O B L Ę Z N I C K I.

Jakże się nazywał?

R O Z Y N A.

Izydor.

O B L Ę Z N I C K I.

Waspani to iesteś żona jego? Rozyna pono..

R O Z Y N A.

Tak, to moje jest imie.

O B L Ę Z N I C K I.

Mąż zostawił Waspanią dziedziczką sławy meztwa swojego.

R O Z Y N A.

I owszem on sławę przy sobie zatrzymał. Żalowi tylko memu ziednał iakąkolwiek ztąd ulgę, iż w sprawie oyczyzny zginął.

O B L Ę Z N I C K I.

Slicznie, buduię się bardzo z sentymentu Waspani, iż umiesz czuć różnicę między pospolitą, a bohaterską śmiercią.

R O Z Y N A.

Krzywdziłbyś mię Wacpan Dobrodziey myśląc inaczey; bo nie iestem córką wyrodną, abym nie kochała oyczyzny moiey.

O B L E Z N I C K I.

Prawda, cnotliwe serce tak się tłumaczy. Mało iest iednak podobnych Wacpani.

R O Z Y N A.

Do nóg upadamy Wacpana dobrodzieia. *Odehoda.*

OBLEZNIICKI *zatrzymuiac Rozyne.*

Dokądże idziecie? proszę zatrzymaycie się momencik; parada zaraz przymaszeruie. Roskosz w tym znajdziemy, gdy tak pięknie myślące obywatelki na obrońców oyczyzny swey patrzeć się będą. Nie mniemaycie, iżby wszyscy tak starzy byli iak ia.

R O Z Y N A.

Starość Wacpana Dobrodzieia piękniejsza iest nad tysiące wypieszczonych młodości, bo doczekąłeś się iey na usługach oyczyzny. Lecz odeyść musimy. *Kłaniaią się i odehodzą.*

OBLEZNIICKI *uchylając kapelusza*
Kłaniam uniżenie. *Patrzy z zadumie-*
niem za odchodzącemi.

S C E N A III.

O B L Ę Z N I C K I *sam.*

Day go katu! córka sołtysa.. to niepo-
dobna. Koniecznie bydź musi iakiś ślachcic
iey oycem. Szkaradnież ona musiała udrzyć
po sercu Adjutanta, kiedy mnie starego w
oka mgnienu tak tchliwie drasnęła. Co za
dowcip!.. iakie przenikające powaby.. Ah!
coż znaczą przy niey wszystkie wymuszone
ozdoby... albo połatana różnemi naukami
rozu miąłkość. Trudno, natura tylko ta-
kie cuda wydaie. — Ey gdyby mi nie był na
przeszkodzie Adjutant, zarekomendowałbym
ią przez dziesiątą osobę żonie moiey, aby ią
przyieła do utrzymania garderoby swoiey, i
prasowania mych gorsów. Bryland. bryland..
Lecz to na potym odłożmy. Teraz przygo-
tować się należy do udania wesołey twarzy
pod czas ceremonii awansu Wiernickiego.

Naraziłem się troszkę Regimentarzowi nie pochwalając ułożenia jego: mogłoby mi to kiedy zaszkodzić. Trzeba mu więc odtąd podchlebiać. Trudno, gdzie nie można przeskoczyć, tam przeleść należy. Potrzebna to bardzo polityka.

S C E N A IV.
O B L E Z N I C K I, M I Ł O S Z.

M I Ł O S Z.

Już to tu jesteś Wacpan dobrodziej.

O B L E Z N I C K I.

I Wacpan żałuy żeś prędzey nie przyszedł.

M I Ł O S Z.

Albo co?

O B L E Z N I C K I.

Bo tu była kochanka Wacpana.

M I Ł O S Z.

Proszę Mości Kommendancie nie żartować ani z niey, ani ze mnie, bo ia nie myślę już więcej razić ucha jego imieniem Rozyny.

O B L E Z N I C K I.

Ale nie żartuję, na moy honor, że dopiero
tu by-

tu była. Ja bez przykrości słuchać Wacpana będę, choćbyś mi o niej ustawicznie gadał. Ja pierwej tylko przez figle dawkę się z Wacpanem.

M I Ł O S Z.

No no.. zapomniemy już o niej; obydzicie się bez tego.

O B L E Z N I C K I.

I czemużbyś Wacpan ze mną nie miał o niej rozmawiać?

M I Ł O S Z.

Bo i nie była tu, i Wacpan Dobrodziey siey nie znasz.

O B L E Z N I C K I.

A.. przesież powiedziałem na honor.— Mówiłem z nią nawet.

M I Ł O S Z.

Kiedy tak, to wierzę.— Jakże ją Wacpan Dobrodziey znalazłeś?

O B L E Z N I C K I.

Zupełnie tak, jak mi ją Wacpan odmawiałeś; i grzeczną, i piękną, i rozumną,

M I Ł O S Z.

Do prawdy?..ey..Pan Komendant żartuje.

Z O M III.

H

O B L E Ż N I C K I.

Ale gdzie tam u diabła żartuję, kadu-
cznie piękna Mospanie.

M I Ł O S Z.

Szczerze to Wacpan Dobrodziey mówisz.

O B L E Ż N I C K I.

Szczerze.

M I Ł O S Z *śmieie się.*

Cha cha cha cha...

O B L E Ż N I C K I.

I czegoż się Wacpan śmieiesz?

M I Ł O S Z *śmieie się.*

Cha cha cha cha... Pan Komendant za-
kochał się pono w Rozynie.

O B L E Ż N I C K I.

Coż też to waści do głowy przyszło. Oy
pusto we łbie, pusto! Ja żonaty i stary,
właśnie bym się też kochał.

M I Ł O S Z.

O... jeżeli tylko dla tych zawad; to mam
już Rywala.

O B L E Ż N I C K I.

Nie gadayże mi o tym już więcej; ho
się rozgniewam.

M I Ł O S Z.

Ha to dobrze. Nie gadamy o niej.

O B L Ę Z N I C K I.

Czemu? o Rozynie gadać możemy, aby tylko zimną krwią, i bez suppozycyi. Bo chce Wacpanu nadgrodzić tę przykrość, którą mu pierwey uczynił ganiąc przez żart Rozynę. Ja wiem że lubisz o niej rozmawiać.

M I Ł O S Z.

W zimney krwi, ani lubię, ani mogę.

O B L Ę Z N I C K I.

Boś się już w niej zatopił. Wstydz się Wacpan, żołnierzem przecie iestes; tak predko poddać się kobiecie.

M I Ł O S Z.

O.. Mospanie Komendancie broń piękney kobietki żadnego nie zna odporu. Z równą szybkością na wylot przenika zbroię, iak i wszystkie wietkie odzienia.

O B L Ę Z N I C K I.

Prawda, przypominam sobie to doświadczenie iakem był młody. — Powiedz mi Wacpan: zkąd ona wzięła taką edukacją?

H 3

MIŁOSZ.

Zapewne ztamtąd, z kąd ma i piękną urodę. Natura sama i matką i guwernantkę iey była.

OBLEŻNICKI.

Wszak ona nie jest z miasteczka.

MIŁOSZ.

Nie, o pół mili ztąd mieszka. Oyciec iey ma grunt dziedziczny.

OBLEŻNICKI.

No Mospanie.. a iak się do domu odda. li? to Wacpan siędziesz na łodzie.

MIŁOSZ.

Nie spodziewam się aby tak prędko wyschac ztąd miała.

OBLEŻNICKI.

Pilnnyże iey dobrze, aby się nie wymkneła! a ia Wacpanu podług możności moiej zechcę usłużyć. *Na stronie.* Postarawszy się dla niey o miejsce u mey żony.

MIŁOSZ *ściskając Obieżnickiego.*

Ah! Mości Kommandancie Dobrodzieiu iakżem szczęśliwy! że Rozyna potrafiła zastużyć na łaskę iego.

O B L Ę Z N I C K I.

No no , pomiarkujemy się potym.

S C E N A V.

C I Z S A M I I B U R M I S T R Z.

M I Ł O S Z.

Co powiesz wielebny Burmistrzu.

B U R M I S T R Z.

Melduję Wielmożnemu Panu, że furaz do
naymnieyszey odrobinki dostawiony już iest.
A zatym suplikuje łaski Pańskiej galopem
bieżec do Jaśnie Wielmożnego Regimentarza,
i donieść mu o tym. Aby mi tego przekłętego
Podchorążego na exekucyą nie przysłał.

M I Ł O S Z.

O nic z tego, ladaco waść widzę iesteś.
Dowiedziałem się dopiero o waścinych spraw-
kach. Żonę słyszę zamknąłeś; i kiedyś tu
babę śmiertelnie spławiłeś. Nie poydę do
Pana Regimentarza, niechay cię Podchorą-
ży rozumu nauczy.

O B L Ę Z N I C K I *do Burmistrza.*

Ho ho . . . słyszałem i ja o tey ich robótcie.

H 3

Oy trzebaby wam za tę sprawkę przynajmniej po dwieście bizunów wyliczyć.

BURMISTRZ.

Wielmożni Panowie Dobrodzieie, to ludzkie udanie, i nie śniło mi się żony zamykać. Ona się sama po iakimsiś interesie zamknęła; a ludzie zaraz baykę roznieśli iakoby ją żonę zamknął. Co też to za utrapienie z temi baikami.

MIŁOSZ.

A babę kto utopił?

BURMISTRZ.

I baba sama się utopiła. Zachciało się babuni kąpać, a pływać nie umiała, czy ja temu co winien? Zmituy się Wielmożny Dobrodzieiu! bież prędzey do Jaśnie Wielmożnego Regimentarza.

MIŁOSZ.

Nie poydę.

BURMISTRZ *chwytaiąc Miłosza za nogi.*

Wielmożny Panie! ja człowiek chudoźny.

MIŁOSZ.

Ale też i złośliwy.

O B L E Z N I C K I.

I niemiłosiernie głupi.

B U R M I S T R Z.

Prawda, prawda Wielmożni Dobrodziecie: zmiłuycesz się więc nademną! abym z Podchorążym nie oszalał do reszty.

M I Ł O S Z.

Słuchay, ia ci poradzę. Oto nie idź do domu, a tak pozbędziesz się wszystkiego. Niechay żona cały attack Podchorążego wytrzyma.

BURMISTRZ *iak oparzony.*

O to to to to po oycowsku mi Jegomość poradził.

M I Ł O S Z.

Coż? dobrze, kontentes z moiey rady?

B U R M I S T R Z.

Oy nie nie; nie piszę się na to. — Ah! Panie spiesz się, bo umrę przed czasem.

OBLEZNICKI *do Miłosza.*

Ey naucz iuż go Wacpan iak ma sobie postać; bo on się do prawdy widzę tak kręci, iak mucha w ukropie.

H 4

M I Ł O S Z.

Słuchayże, rzetelnie ci powiadam, że żadnym sposobem zład teraz odeyść nie mogę, bo niebawnie tu parada przymaszeruje, a ja przy niej byź muszę. Ale bież sam galopem rozumiesz? i Wiernickiemu o dostawionym furaju powiedz; on zamelduje. Albo też i sam o tym Panu Regimentarzowi donieś. Spieszże się nim wyidzie z kwatery; bo cię na drodze już słuchać nie będzie.

B U R M I S T R Z.

Tam do czarta! miałem tu na co czekać. *Odchodzi szybko.*

MIŁOSZ *za odchodzącym.*

Ale ale, Burmistrzu wróćno się ieszcze.

BURMISTRZ *wracając się.*

No.. gaday Pan prędko.

M I Ł O S Z.

Oto zatrzymay się trochę, przypatrzysz się paradi.

BURMISTRZ *ze śmieszniemi gostami.*

A niech ja tam... *Odbiega.*

S C E N A VI.

OBLĘZNICKI, MIŁOSZ.

O B L Ę Z N I C K I.

Dażesz mu Wacpan na poty, co tchu poleciał.

M I Ł O S Z.

Dobrze mu tak, niech nie zamyka żony.

O B L Ę Z N I C K I.

Miły Boże! Wacpan widze większą chęć miałeś zemszczenia się za zamknięcie żony, niżli za utopienie baby.

M I Ł O S Z.

Bo excess zaboystwa inney wyciąga kary, i do zwierzchności tylko należy.

O B L Ę Z N I C K I.

Patrzże Wacpan, poty im bezkarnie uchodzi.

M I Ł O S Z.

I uydzie im nawet bezkarnie, bo mając za sobą dawność powierzonego im sądownictwa, powiadają się bydź równemi innym Magistratom po większych miastach z rozumnych ludzi złożonym. Do których tyle tyl-

ko podobnemi są, że dusze mają. Ah! ileż to krzywdy i okrucieństwa musi ubogi lud cierpieć! gdzie takie sądzą łaydaki.

O B L Ę Z N I C K I.

Straszna rzecz! co za ślepotą. — Ale co się to znaczy? że Jeśpana Regimentarza nie widać. Już musi być piąta godzina.

M I Ł O S Z.

Może się Wiernicki gdzie znowu zapodział, bo on ustawicznie samotności szuka. *Posiera za kulisę.* A nie... już widzę idą.

S C E N A VII.

CIZ SAMI, BITNICKI, WIERNICKI
I WESOŁOWSKI.

BITNICKI *do Obłężnickiego.*

Jeśpan Komendant grzeczny wszystkich uprzedził.

O B L Ę Z N I C K I.

Biorąc chwalebny przykład z Wacpana Dobrodzieia, pospieszyłem tu nayspierwszy patrzeć się z ukontentowaniem na sprawiedliwość Jego.

BITNICKI *wskazując na Wiernickiego.*

Prezentuję Wacpanu Jeśpana Wiernickiego; kochaj go, bo na to zasłużył.

Wiernicki kłania się.

OBLEZNIICKI *do Wiernickiego.*

Bądź Wacpan pewien o szacunku moim; bo odgłos piękney czynności Wacpana wszędy poznanie iego poprzedza.

BITNICKI *do Obłężnickiego.*

Przyjaźń Wacpana oświadczona Jeśpanu Wiernickiemu, zniewala mię oświadczyć ci wdzięczność moją kochany Komendancie.

Sciska go.

W tym miejscu odzywa się za Teatrem muzyka woyskowa marsz grająca. — Ciągnie na Teatr parada, którą Mitoz szykuje. — Przez cały czas marszu i szykowania się Bitnicki z Obłężnickim rozmawiają eicho: potym ściskają się. — Gdy się już parada uszykowała; Mitoz dobywa szpady. — Każe broń prezentować. — Salutuie Regimientarza. — Bitnicki i Obłężnicki uchylają kapelusze. — Mitoz komenderuje: broń na

*mie. — Obraca się. — I zostaje na froncie
z dobytą szpada.*

BITNICKI.

Koledzy! nie masz dnia piękniejszego w całym życiu człowieka, jak kiedy oddaie sprawiedliwość podobnemu sobie stworzeniu. Dzień taki, jest dzień dzisiejszy dla mnie przeznaczony. Ziednał mi go zasługą swoją przytomny tu Jeśpan Wiernicki, którego słusznie Rycerzem mianować możemy; bo mężstwem swoim zadziwił nas, a nieprzyjaciela zastraszył. — Uwolnienie fortecy tej od oblężenia Szwedzkiego; zachowanie przy życiu i majątkach tylu tysięcy rozpaczającego już ludu, ocalenie wojska, zwycięstwo nakoniec decydujące szczęśliwość całego narodu! Oto są dary, który waleczny ten Rycerz na ołtarzu oyczyzny już złożył. — Wdzięczna oyczyzna ofiary Wacpana Mości Panie Wiernicki, donosi ci przezemnie: iż cię wpisała już w nieśmiertelną księgę obrońców swoich. — Ja zaś który mam honor Wacpana w komendzie miec moiej, spiesząc się z oświadczeniem mu wysokiego szacunku; ofia-

ruię Wacpanu wakującą rangę Kapitana w Regimentcie moim. *Obracając się do żołnierzy.* Wy! co na tę honorową służbę wozwanemi iestecie, nie wątpię iż błogosławicie losowi, przez który świadkami awansu Rycerza tego zostaliście. Wyrzyciesz na sercach waszych tę świetną pamiątkę; a współ-kolegom swoim powiedzcie, iż zasługa odebrała nadgodę.

W I E R N I C K I.

Jaśnie Wielmożny Regimentarzu, kiedyś dopełniał powinności żołnierza, o żadney nie myślałem nadgodzie. Zatrzymay więc Wacpan Dobrodziey tę rangę dla innego, coby ją radł posiadać; bo ja żadney mieć niechęć. Odbieram tylko z nayeżulszym podziękowaniem dowod życzliwości Pańskiej.

B I T N I C K I.

A to co?.. Wacpan żartujesz.

W I E R N I C K I.

Nie, wcale nie żartuję.

B I T N I C K I.

Mospanie Wiernicki; znam się ja doskoła na usłudze Wacpana, i przyznać że więk-

szej nadgrody iest warta. Lecz gdy nie iest w mey mocy wspanialey obdarzyć go, Król Jegomość to wszystko dopełni, czego nie dostaie do ofiary. — Wiedz Wacpan, że wysłałem kuryera z rekomendacyą Wacpana. Tym czasem zaś przyimiy dar, na iaki się ia zdobyć mogłem.

W I E R N I C K I.

Przepraszam Wacpana Dobrodzieia, ia i od Króla nie niechę.

B I T N I C K I.

Jak to? Wacpan żadney wcale nie żądasz nadgrody.

W I E R N I C K I.

Żadney.

B I T N I C K I.

Coż Wacpan za ieden iesteś, zdaie się przeciesz, że nie masz takiego na świecie, któryby łaski Królewskiej nie pragnął.

W I E R N I C K I.

Gdy bez zaszczytów i bogactw obeysć się uniem; nie potrzebuie zatym niczego.

B I T N I C K I.

Choćbyś Wacpan miał duszę wyższą nad

te ponęty, niepodobna iednak abyś był równie dalekim i od tych wszystkich słabości, którym iako człowiek ulegać musisz. Jakoż postrzegam w twarzy Wacpana wyraz dolegliwości iakieys. — Jeżeli zgadłem? chciey więc odkryć się przedemną przyacielem swoim, abym miał roskosz okazać mu moią przychylność: a nie uchylę się od wszelkiej puściugi.

W I E R N I C K I.

Nieszczęśliwy iestem! że i w tym punkcie nie mogę zadość uczynić łaskawey dla mnie chęci Wacpana dobrodzieia.

B I T N I C K I.

I iakże Wacpan umyśliłeś zostac?

W I E R N I C K I.

Tak iak byłem przed przyięciem służby woyskowej.

B I T N I C K I.

Jak to? nie życzysz sobie nawet bydź w woysku?

W I E R N I C K I.

Nie, i to iest tylko iedyne żądanie moie, abym natychmiast od służby woyskowej u-

wolnionym został, i tam się udał, gdzie mi się podoba.

B I T N I C K I.

Co?.. iabym zaś Wacpana bez nadgrody miał puszczać. Ja z Wacpanem żegnać się już miałbym?.. Ah! moy Wiernicki nie wspominaj mi nawet o tym. *Do Obłężnickiego.* Patrz Wacpan w życiu moim w takim ambarafsie nie byłem.

O B Ł E Ż N I C K I.

Wierzy, bo to jest niesłychane zdarzenie. *Dó Wiernickiego.* Ktokolwiek Wacpan iesteś, i iakiekolwiek przyczyny masz uchylać się od przyięcia ofiarowaney mu rangi; winienesz przecie zastanowić się nad tym, iż czułe serce Jeśpana Regimentarza zasmuciłbyś niezmiernie, gdybyś za tak wysoką zastługę, a ieszcze pod komendą jego zrobioną, bez żadney nadgrody pozostał.

W I E R N I C K I.

Jeżeli o to idzie aby dobroczynność Jaśnie Wielmożnego Regimentarza Dobrodziecia skutek swoy wzięła; otoż gotow iestem przyjąć ofiarowaną mi rangę; ale pod tą kondycją

ażeby najlepiej zasłużenemu za pół ceny ustąpiona była. Te zaś pieniądze ażeby rozdzielone zostały pomiędzy wieśniaków najbliżey Częstochowey mieszkających. Jeżeli to być może? dopraszam się sam o tę nagrodę.

BITNICKI *do Obłąźnickiego.*

Nowa rzecz!.. rozum straciłem w niezbadaney tey tajemnicy. *Do Wiernickiego.* Mospanie Wiernicki, wspaniałość serca Wacpana rozrzewnia mię. Nie wchodząc w nic; iaką chcesz mieć sumnę? natychmiast ci taka wypłaconą będzie; i sam ię podług upodobania na lud ubogi rozdzielisz. Rangę zaś zatrzymay przy sobie.

W I E R N I C K I.

Już wyznałem ostatnie moje żądanie. Teraz tylko o uwolnienie mię dopraszam się.

BITNICKI *pomyśliwszy.*

No.. proszę Wacpana za godzinę bydą u mnie. Tym czasem wybaczysz, iż checi moiey dogodzę. *Do Mitosza.* Każ Wacpan przed Panem Kapitanem Wiernickim bron prezentować, i parada sięch zeydzie.

Mitosz obraca się.

W I E R N I C K I.

Ja nie jestem Kapitanem. *Do parady.*
I Wacpanowie nie fatyguycie się.

MIŁOSZ *komenderuje.*

Baczność!..

BITNICKI *odchodząc do Wiernickiego.*

Czekam Wacpana. *Do Obłeznickiego.*
Proszę z sobą. *Odchodzą obydwaj; i Weso-*
łowski za nimi. — *Mitosz każe broń prezen-*
tować. — *Co gdy czyni parada.*

W I E R N I C K I *klaniając się*

Po coż to tego. *Do Mitosza.* Dziękuję
Wacpanu Dobrodzieiowi. *Potym do para-*
dy. I Wacpanom za fatygę.

Mitosz saluuje Wiernickiego. — *Każe wziąć*
broń na ramie. — *I na czele parady przy*
muzyce schodzi z nią..

S C E N A VIII.

W I E R N I C K I *sam.*

Wydobędę się już przecie z tego niepo-
koju... Lecz ah! razem i tę wdzięczną po-

żegnam krainę. — Powrócę nazad między lud
nieznajomy.. między lasy i głuche iaskinie!..
gdzie bez boiaźni wyrzeczone imię Rozyny
tysiąc razy przychylne powtórzy echo.. wier-
nie go do mego ucha odnosi. — Tu niemam
i tey ostatney pociechy.. Honorami i bogac-
twy obsypią mię.. a o Rozynie nikt i nie
wspomni. — Ah! niczym dla mnie iest wszyst-
ko, kiedy nie przy Rozynie. — O! Rozyno..
najmilsza Rozyno.. iakże imię twoie prze-
nikające iest... Niestety! imię Wiernickiego
z ust do ust przechodząc, obito się zapewne
iuz nieraz o uszy twoie.. . zapewne za każ-
dym razem serce twoie wezdrgneło... a ty
nie wiesz.. że to na odgłos nieszczęśliwego
Floryana!.. Ah! na tym wszystko się skou-
czy... Nie poznany od nikogo oddalę się
ztd nie widząc cię nawet... Tak cnota ka-
że!.. Tak sama miłość moja mi radzi, abym
spokoyność twoią szanował.

Zatamuję ręce, zastona zapada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Teatr reprezentuje kwaterę Regimentarską, iak w Aktcie trzecim.

S C E N A I.

BITNICKI OBLĘZNICKI.

B I T N I C K I.

Poradźże mi teraz moy Komendancie co mam czynić z Wiernickim.

O B L E Z N I C K I.

Ja niewiem, trudno bardzo wynaleść sposób do zniewolenia go, kiedy i niechce nic przyjąć, i w okropnym iakimsiś pograżony iest smutku.

B I T N I C K I.

Ten człowiek musi bydź w iakiejs wielkiej awanturze.

O B L E Z N I C K I.

Wypadać to niby na to. Tylkoż z drze-

giej strony zdaie się, iżby tym chętniej przy-
jąć powinien był i rangę tak znaczną, i za-
pewnioną mu protekcyą Króla Jegomości,
gdyby był w jakim nieszczęściu.

BITNICKI.

Prawdę Wacław mówisz. *Zamyśla się.*
Więc albo jest może mądry Kawaler nie-
potrzebujący nadgrody, albo zakochańy.

O S L E Z N I C K I.

To drugie podobnieysze jest do niego.
Bo i twarz wyszczona, i smutek ponury,
którego utaić nie może, wreszcie i wgarda
ciar tak podobiebnvch są to bez wątpienia
skutki mocno zakochanego serca.

BITNICKI.

Ha.. będziemy go z różnych stron do-
tykać. On zaraz tu przyidzie.

S C E N A II.

CIZ SAMI I DOMINIK.

DOMINIK *jakby w naglącej potrzebie z
rozrzewnieniem.*

Na odgłos wspaniałości Pańskiej rzu-

cam się do stóp twoich. *Chce upaść do nóg Bitnickiemu, który mu nie dozwala.* Dobroczynny Panie, podaj rękę nieszczęśliwemu starcowi! w najsroższym razie; bo w razie życia! lub śmierci!

BITNICKI z najsroższą uprzejmością.

Słucham cię mój staruszkę; mów mi śmiało czego potrzebuiesz.

D O M I N I K.

Ah! historia nieszczęścia mojego jest długa. A Panowie nie zwykli mieć czasu do słuchania dolegliwości ubogiego człowieka.

B I T N I C K I.

Ja cierpliwie słuchać cię będę, choć właśnie w tym momencie najsroższe mam zatrudnienie.

D O M I N I K.

Opowiem ja krótko. — Jestem oyciec nieszczęśliwy! mający córkę jedynaczkę, którą kocham ah! mocniej zapewne nad ten ostatni dzień życia mojego pełnych boleści! i żalu. Ta córka moja dziecina była jeszcze, kiedy ja za wyświadczone mi od sąsiada mego dobrodzieństwo wypłacałam się wdzięcznością,

przysięgam mu, że córkę moją z synem iego zaślubię. — Gdy do lat przyszła; Nieba iey serce ku innemu skłoniły. — Zbliżył się zatym ów moment, w którym miłość iey z przysięga moją walkę zwieść miała.. Niestety! żadney nie było.. Cnotliwi kochankowie z niestetychany postuszeństwem przyieli kielich goryczy! który im okropna przysięga moia do spełnienia podała. — Poszedł w świat kochanek iey! a nieszczęśliwa córka moia z całą miłością iego zaślubiła się innemu. — Przeżyła cnotliwie z narzuconym iey mężem lat sześć niemogąc się nigdy pozbydź tesknoty! i żalu.. Zginął on teraz... I gdy ia łzami pokutnemi błagam Niebiosa! aby iey powróciły kochanka: Przyjaciółka mey córki oto w tym momencie postrzegła go w ubiorze wojskowym. *Chwytając za nogi Bitnickiego.* Ah Panie! równie iak ia oycem iesteś.. Udzielże mi cząstkę takiej litości, iakieybyś sam pragnął, gdybyś w podobnym znajdował się stanie.

B I T N I C K I.

Wchodzę w całą okropność boleści tak

twoich, iak i nieszczęśliwey córki twey pocziwy staruszku: i wszelką powolność z mey strony do uszcześliwienia was ofiaruję ci. Czegoż żadasz odemnie.

D O M I N I K.

Jaśnie Wielmożny Panie! rozkaż stanąć całemu woysku, abym czym prędzey znalazł pocziwego tego młodzieńca, i natychmiast go córce moiey oddał: bo on do niey tylko należy.

B I T N I C K I.

Coż za potrzeba szukać go? a jeszcze tak nagle. Jeżeli on dotąd kocha twą córkę? sam się znajdzie. Jeżeli zaś odmienił już serce? nic nie znaczy choć go znajdziecie.

D O M I N I K.

Ah! bez wątpienia kocha. Idla tego też że kocha, możemy go znowu postradać. — Pierwiey w świat poszedł, aby widokiem swoim nie ranił serca mey córki. Teraz nie wiedząc że wdową została; gotów toż samo uczynić.

B I T N I C K I.

Czy to on tak daleko snotliwym i delikatnym iest?

DOMI.

DOMINIK *wzdychając*

Ah! tak.. Zlituy się Panie nad nieszczęśliwą familią.

BITNICKI.

Masz racyą kiedy tak. W położeniu tym i boiaźn przełamania artykułów wojskowych nie wstrzymała by go.

OBLĘZNICKI *do Dominika.*

Ależ przecie musiała z nim co gadać ta Przyjaciółka wasza?

DOMINIK.

Nic z nim mówić nie mogła, bo go z daleka postrzegła wchodzącego w kupę żołnierzy. Nieśmiejąc więc narażać się na szyderstwo wojskowych, co tchn tylko do nas z wiadomością przybiegła.

BITNICKI *do Dominika.*

Jakże się on nazywa?

DOMINIK.

Floryan Kochan. Ale on to nazwisko odmienić musiał.

BITNICKI.

Zapewne, bo żadnego niema w wojsku moim żołnierza, któryby się tak nazywał:

T O M III.

1

po imienia zaś niepodobna trafić na kochanka twej córki. Lecz mam krótszy sposób wynalezienia go. Bądź dobrej myśli staruszkę, wnet go obaczysz. *Woła. Ordynans.*

S C E N A III.
CIZ SAMI I WESOŁOWSKI.

BITNICKI *do Wesółowskiego.*

Bieź po Pana Adjutanta.

W E S O Ł O W S K I.

A ieźlibym go w kwaterze nie znalazł?

B I T N I C K I.

To go szukay gdzie iest: a pilno. *Wesołowski odchodzi.*

S C E N A IV.
BITNICKI, OBLEŻNICKI, DOMINIK.

D O M I N I K.

Po coź to Jaśnie Wielmożny P'anie rozkazałeś wołać Jeśpana Adjutanta.

B I T N I C K I.

Aby wynotował tych żołnierzy, którzy ma-

ią imię Floryana, i ei wszyscy zaraz tu staną.
A tak bez wielkiego zachodu znajdzie z kochanka swej córki.

DOMINIK *z wyrazem trwogi.*

Ah! zginąłem... Pan Adjutant zaszkodzić nam może.

BITNICKI.

Co to ma znaczyć?... nie rozumiem...

DOMINIK.

Nie sądzę go, może poczciwy człowiek.
Tylko że to w tak delikatney okoliczności..

OBLEZNICKI *do Dominika z raptownym zapytaniem.*

Jakże waszeciney córce iest imię?

DOMINIK.

Rozyna.

OBLEZNICKI.

Tam do czarta!.. *Odchodzi szybko od Dominika, czyniąc gesta dziwaczne. Na stronie.* Dowiedziałem się piękney nowiny; nie będzie mi już gorsów prasować.

Bitnicki z wyrazem wielkiego podziwienia
pogląda na obydwóch.

DOMINIK *Patrzac na Obłężnickiego.*

Czegoż się Wacpan Dobrodziey tak troszczysz?

O B Ł E Ż N I C K I.

Bo mi żal Adjutanta.

DOMINIK *iakby rozpaczaiac.*

O ja nieszczęśliwy! kiedy już Wacpan dobrodziey załujesz Pana Adjutanta, to ja Floryana nie uyrzę zapewne.

B I T N I C K I.

Coż to jest takiego? oświećcie mię w tey tajemnicy. Co za wpływ ma Adjutant do tey okoliczności?

O B Ł E Ż N I C K I.

Oto nie obwiłaiąc w bawełnę, zakochał się śmiertelnie w córce iego, i chciał się nawet z nią żenić.

BITNICKI *z zadziwieniem.*

Pan Adjutant? .. a mnie o tym nic nie wspomniał. — Zkądże to przyszło?

O B Ł E Ż N I C K I *iakby kryjąc się przed Dominikiem.*

Córka iego bardzo jest piękna, i wielki ma rozum.

DOMINIK *do Obleźnickiego.*

Coż tam Wacpan Dobrodziey szepczesz?..
Z rozrzewnieniem. Boże opatrzny! opiekuy
się starością moją. Nie karz mię tuż więcey
za gwałt wyrządzony mey córce. Zbłądzi-
łem! ale to świętą dobowuiąc przysięgę.

BITNICKI *z dobrocią.*

Uspokoy się staruszkuz, nie tu na twoją
krzywdę stać się nie może.

S C E N A V.

CIZ SAMI I WIERNICKI.

BITNICKI *postępując ku Wiernickiemu i ściskając go.*

Witam cię moy Kapitanie.

W I E R N I C K I.

Stawiam się na rozkaz.

DOMINIK *z krzykiem.*

Głos Floryana!.. o Nieba!.. *Pada na Wiernickiego.*

W I E R N I C K I

Co widzę!.. Dominik.. *Upada na kolana. — Chwytaia się w pot, i milczą. — Bitnic-*

I 3

ki cofnąwszy się w tył, czyni figurę wielkiego zadziwienia. W takiyżę zdumiałości i Obłężnicki zostaje. — Pauza.

DOMINIK *przerywanym głosem.*

Oglądaj cię przecież .. oczy moje .. odpuść mi ...

WIERNICKI *stłym głosem.*

Oycze..nie gniewałem się nigdy na Ciebie.

BITNICKI *z żywą czułością.*

Co za niespodziewane zdarzenie!.. co za widok przenikający.... *Podnosząc ich.* Powstańcie ludzie poczciwi .. Rozdzielcie się na moment.. tak nagłe poruszenie zaszkodzić wam może. *Podnoszą się.*

DOMINIK *iakby zbierając osłabione siły.*

O dniu szczęśliwy!.. o błogosławiona godzino .. coś mi odzyskać dała poczciwego tego młodzieńca... *Biorąc za rękę Wiernickiego, i ciągnąc go.* Poydźte najmilszy Synu!.. poydź córkę moją pociesz.. Nie lękaj się już zatrwożyć iey serca, bo jest wdową.

W I E R N I C K I.

Co słyszę?.. Rezyzna wdową została?.,
Ab!...

D O M I N I K.

Wdową, wdową. Już mąż iey nie żyje.

W I E R N I C K I.

Czy zdrowa?

D O M I N I K.

Zostanie zdrową skoro cię obaczy...

Spieszcie się. *Ciągnie go.* — *Wiernicki postępuje osłabionym krokiem.*

B I T N I C K I.

Moy staruszkę, odwdzięcz mi przychylność, którą ci okazałem w chęci prędkiego wyszukania kochanka twej córki. Pozwól, aby się on z Rozyną w domu moim przywitał. Sprowadź tu córkę.

D O M I N I K.

Ah! dobroczynny Panie, wielkocy panie wymagasz ofiary! abym go odstąpił.

B I T N I C K I.

Uczyń to dla mnie.

D O M I N I K.

Ah!...

OBLEZNICKI *do Dominika.*

Wierze mi Panie Dominiku, iż dla zapobieżenia szkodliwym skutkom z mocnego

wzruszenia wyniknąć mogącym, lepiej jest dla samey Rozyny, nawet aby w obecności obcych ludzi przywitała się ze swym kochankiem.

D O M I N I K.

Ha... to dobrze. — Oddaję więc w opiekę Wacpanów Dobrodzieiów mego Floryana; a sam idę po córkę.

S C E N A VI.

BITNICKI, OBLĘZNICKI, WIERNICKI,

BITNICKI *do Wiernickiego.*

Już tedy odkryła się tajemnica smutku Wacpana, i sam smutek zmienił się w radość. Szczęśliwy jestem, że to stało się i przed czasem nim pożegnałeś nas, i w oczach moich. — Podchlebiam sobie, iż niewzgardzisz już teraz ofiarą moją.

W I E R N I C K I.

Przyjmę z wdzięcznością. Uprzeżmość jednak Pańska zawsze naydroższym dla mnie jest darem; bo od niey i bliskość uszczyśli-

wienia mego zawisła. — Nie wątpię, że Rozyna w dawney ku mnie trwa przychylności; lecz gdyby może przez wzgląd żałoby po mężu, chciała się ociągać z oddaniem mi ręki? racz Wacpan Dobrodziy przyłożyć się powagą swoją do odwrócenia iey z tych smutnych ułożeń.

B I T N I C K I.

Wszyscy o to będziemy ją prosić. *Z uśmiechem.* Lubo wiem, że sam sobie najlepiej usłużysz.

S C E N A VII.

C I Z S A M I , M I Ł O S Z I W E S O -
Ł O W S K I.

M I Ł O S Z *do Bitnickiego.*

Stawiam się na rozkaz Wacpana Dobrodzieia.

B I T N I C K I.

Już się obeszło bez fatygi Wacpana.

O B L E Z N I C K I *do Miłosza.*

Miałeś Wacpan między woyskowemi szukać kochanka Rozyny; ale się już sam znalazł.

I 5

MIŁOSZ.

Kochanka Rozyny.. Proszę Mości Komendancie tak daleko nie żartować ze mnie. Szanuję Wacpana Dobrodzieis iako Sztaabs officyera ; dla tego iednak nie dam z siebie żartować.

BITNICKI.

Nieurażaj się moy Adjutancie, bo Jeśpan Komendant nie żartuje. *Wskazując na Wiernickiego.* Oto iest kochanek Rozyny.

WESOŁOWSKI *na stronie.*

Tam do diabła + biyże się z nim.

OBLEZNIKKI *do Miłosza.*

Czemu się Wacpan teraz nie gniewasz?

MIŁOSZ.

Bo to nie żarty są pono. *Do Wiernickiego,* Jakże dawno znasz Wacpan Rozynę.

WIERNICKI.

Od lat naymłodszych.

MIŁOSZ *z zastanowieniem się.*

Ah! .. czy tylko .. nie .. Floryan? ..

WIERNICKI.

Tak iest; Floryana mam imie,

M I Ł O S Z.

To dosyć, już wiem o wszystkim.— Mos-
panie Wiernicki, nie zyskałem ja wpraw-
dzie ieszcze serca Rozyny; ale iey moje całe
oddawszy, do nadziei wdychałem. Z tey
tedy czynię ofiarę Wacpanu. Przyimiy czule
ten dar moy, bo to jest dar serca. A z Rozyną
zostań szczęśliwym w miarę wartości swoiey.

W I E R N I C K I.

Z wdzięcznością odbieram tak wielki
przychylności dowód.

BITNICKI *do Mitosza.*

Spodziewałem się tego po zacney duszy
Wacpana.

S C E N A VIII.

CIZ SAMI, DOMINIK, I ROZYNA
I ELZBIETA.

WESOŁOWSKI *na stronie, gdy wchodzi
Rozyna.*

Jaka śliczna...

ELZBIETA *wchodząc, z wyrazem zbytniey
radości.*

Ah! Flozjan.. iakżem szczęśliwa...

DOMINIK *do Bitnickiego.*

Rekomenduję Jaśnie Wielmożnemu Panu
Rozynę i Elżbietę wierną przyjaciółkę naszą,
wynalezicielkę Floryana.

*W tym momencie gdy Rozyna i Elżbieta
kłaniaią się.*

WIERNICKI *pada do nóg Rozynie, i chwy-
tając ją:*

Witam cię Rozyno! .. poznaj Floryana ..

R O Z Y N A *stłym głosem.*

Jak się masz .. puśćże mię .. ah .. co ro-
bisz ... przy tylu oczach ...

WIERNICKI *z najmocniejszą czułością.*

Miłość aczeiwa nie wstydzi mię, bo ona
najpierwszym jest ludzi zaszczytem. Ukocha-
łem cię z lat młodych Rozyno ... Dusza
moja wzrastając w siły, z dniem każdym od-
krywała mi nowe w tobie powaby .. z dniem
każdym mocniej przywiązywała mię do cie-
bie. Wyznałem ci ze drżeniem uczucia mo-
ie .. tyś je wdzięcznie przyjęła .. i odtąd od-
dychaliśmy samą rozkoszą ... Ah! .. w tym
stanie oderwany od ciebie zostałem! .. Stra-
ciłem cię niestety! .. a smutek ponury obok

ciebie rozpostarł się zaraz w mym sercu. —
Widzisz okropne jego wyrazy na mey wy-
śótkłey twarzy! nie przestraszay się niemi..
są to znaki wierności moiey dla ciebie. U-
dziel im raczey litości...

ROZYNA *drzącym głosem.*

Żałuję cię.. wstańże już.. proszę cię..

Wiernicki podnosi się.

ROZYNA *do Bitnickiego.* — *A w tym czasie*
Elibieta z Wiernickim witają się.

Daruy Wacpan Dobrodziśy wzruszeniom
zadawnioney przyjaźni, iż pierwsze zabrały
mieysce przed wyznaniem głębokiego mu u-
szanowania.

B I T N I C K I.

Zacna Rozyno, przyimiv raczey uszano-
wanie moje, które twey cnoście oddaę. Już
wiem o wszystkim, i wątpić nie mogę, iż mi-
łość twoja przodkowała mężstwu Jeśpana
Wiernickiego.

D O M I N I K.

O jakimże to Wiernickim Jaśnie Wiel-
możny Pan mówisz? Córka moja nie zna go
nawet.

R O Z Y N A.

Słyszałam tylko o nim.

B I T N I C K I.

A to ciekawa rzecz. — Nie znaciesz to jeszcze Pana Wiernickiego?

R O Z Y N A.

Nieznamy go wcale.

B I T N I C K I.

Przecież tu on tak głośny jest. — Życzyłabyś sobie Rozyno poznać go?

R O Z Y N A.

Tak walecznego Rycerza, któżby nie chciał oglądać?

BITNICKI *wskazując na Wiernickiego.*

Otoż go prezentuję Wacpani. Ten to sam jest Jeśpan Wiernicki ów sławny Bohater, co dzielnym męstwem życia i majątki tutejszego ludu ocalił. Ciesz się szczęśliwa Rozyno! nie masz kobiety, któraby ci nie zazdrościła kochanka takiego.

Rozyna pogląda na Wiernickiego.

ELZBIETA *równie spojrzawszy na Wiernickiego, z zapamiętaniem.*

O! radości niepojęta...

DOMINIK *z zdziwieniem.*

A to co? nasz poczciwy Floryan miałby zaś być tym wspaniałym obrońcą naszym?..

O B L E Ż N I C K I.

Nieinaczej, iemu sałość naszą wszyscy winnemi iesteśmy.

DOMINIK *podnosząc ręce do góry.*

O wielki Boże!.. iakże przedziwnie nie-szczęśliwych pocieszasz... Zbytńia radość! przewyższyła już same życzenia moje.

ELZBIETA *do Wiernickiego.*

Ah! Floryanie.. czemużeś ty ukrywał dawne nazwisko swoje.

W I E R N I C K I.

Nie wiedząc iż mąż Rozyny już nie żył, lękałem się spokoyności iey nazwiskiem moim zakłucić.

D O M I N I K.

Może nieraz i przechodziłeś koło nas; a my cię nie poznali.

W I E R N I C K I.

Nie, nie wychodziłem prawie nigdzie z kwatery Jaśnie Wielmożnego Regimentarza.

E L Z B I E T A.

O Nieba! i my też właśnie w tym samym domu mieszkamy. Ah! gdyby nie moment szczęśliwy, w którym postrzegłam cię; możeby smutek nasz na zawsze przy nas był został. —

B I T N I C K I.

Bez tego Jeśpan Wiernicki umyślił już był oddalić się ztąd.

D O M I N I K.

Bóg opiekował się nami. *Do Wiernickiego.* A Pan Burmistrz nie poznał cię ieszeze.

W I E R N I C K I.

Nie, bo ukrywałem się przed nim.

DOMINIK *do Bitnickiego.*

O dobrze, dobrze, będziemy też mieli z niego uciechę. Dowiedział się od sztyldwachy, że Pan Wiernicki tu się znajduie, i ma tu przyiść zaraz z podarunkiem, który dla niego miasto złożyło. Nie powiem mu Jaśnie Wielmożny Panie, że to kochany nasz Floryan, sz wyrznie całą oracyą, ktorey go Pisarz mieyski nauczył. *Zaglądnijac za kulisę.* Otoż i on idzie.

SCENA IX. I OSTATNIA.

CIZ SAMI, BURMISTRZ z pułmiskiem
chustką przykrytym I PETRONELLA
z wieńcem.

B I T N I C K I.

Coż tam waść masz na tym pułmisku,
pierniki? czy opłatki?

B U R M I S T R Z.

Przepraszam Jaśnie Wielmożny Dobro-
dzieiu, tu są pieniądze; podarunek od mia-
sta złożony dla Wielmożnego Pana Wier-
nickiego Kapitana nowego, a Bohatera na-
szego. Pozwolisz Jaśnie Wielmożny Dobro-
dzieiu w obecności wysokiej prezencji swo-
iej ofiarować mu go.

B I T N I C K I.

Pozwalam.

BURMISTRZ *wskazując na Wiernickiego.*

Wszakże to pono ten sam jest Wielmoż-
ny Legomość?

D O M I N I K.

Tak, to jest Pan Wiernicki.

BURMISTRZ *do Wiernickiego skłoniwszy się, za którym stała Petronella z karta i podszeptuje mu, a on zacina się i tak jeszcze.*

Jako gdy Tytan srebrzysty z podziemnych Antypodów w ognistej wypadłszy kolasie, złotolite dyamentowych swych źrzenic po całym świecie rozrzuci promienia, tak sława twoja iedynaku Herkulesa! rozproszyła się po horyzoncie naszym. Na wdzięczne echo tej nieśmiertelnej trąby! cisną się hurmem dla złożenia tryumfalnego ci hołdu Pół-Bogowie ziemscy, i my też małe robaczki pospieszamy z czcłobitnością naszą. Odłóż na stronę rynsztunki Marsowe, a przepasawszy się girlandą kłosiatej Cerery, przyimiy z wdzięcznym uśmiechem mnie i żonę moją iako deputowanych od oboiej płci Często-chowskiej osady. Oświadczamy ci w imieniu iey niewysłowione językiem ludzkim poszanowanie. A na dowód wdzięczności, oto ten pułmisek nie próżny, i wieniec dębowy ci ofiarujemy. *Kłania się.*

W I E R N I C K I.

Dziękuję Waspaństwu za dobre serce.

WESOŁOWSKI *na stronie.*

Piękną osiełek powiedział oracyą.

DOVINIK *do Burmistrza.*

Nie poznałżeś to Waspan Pana Wiernickiego, wszak to jest ów nasz kochany Floryan.

BURMISTRZ *z zadumieniem patrząc na Wiernickiego.*

A to co! .. ah! prawda .. Niechże cię uściskam. *Leci do Wiernickiego. — Potyka się. — Putmisek z pieniędzmi upuszcza. — I wpadając pomiędzy Wiernickiego i Rozynę, którzy mu się szybko rozstępują, uderza sobą w Wesotowskiego za niemi stojącego.*

WESOŁOWSKI *z krzykiem.*

Oioy! ..

BURMISTRZ *do Wesotowskiego.*

Ah! przepaszam .. potknąłem się. *Do Wiernickiego.* Jakże się nasz wielmożny Floryanie. *Sciska go.*

WESOŁOWSKI *na stronie.*

No .. proszę .. nie szalony to człowiek. O włos nie roztracił Rozyny, a mnie piersi nie rozbił. *Stęka.*

BURMISTRZ *po uściskaniu Wiernickiego do Petronelli.*

Zbieraj żono.

P E T R O N E L L A.

Jam nie upuściła mego wieńca.

BITNICKI *do Burmistrza.*

Zbierz waś sam te pieniądze, i powróć się z nimi. Jeśpan Wiernicki nie potrzebuje podarunku waszego.

B U R M I S T R Z

Jaśnie Wielmożny Dobrodzieiu to byź nie może. Umarłego z grobu nie wracają. Zbiera pieniądze i podnosi putmisk.

W I E R N I C K I.

Dla dowodu wdzięczności moiej wieńca przyjmuję, a pieniądze niechce.

BITNICKI *do Burmistrza.*

Macie tu między sobą wdowę po Izydorzce, który w czasie szturmie z wielką zasługą zginął w obronie oyczyzny. Rozkazuję więc te pieniądze jej oddać.

WIERNICKI *wskazując na Rozynę.*

Wszak to jest ta sama Rozyna.

B I T N I C K I.

Co słysze! .. Do Rozyny. Wacpani byłaś
żoną Izydora.

R O Z Y N A.

Tak jest.

BITNICKI : *deklamacja.*

O cuda miłości! wyście kierowały widzę
losem tylu tylu tysięcy ludzi. Twoie to na-
technienia cnotliwa Rozyna Bohaterów wy-
dały. Maż twoy wstrzymawszy dzielne im-
pet nieprzyziaciela! iakby przygotował czas
dla kochanka swey żony, aby się zemścił za
niego.— Śmierć izydora upewniła zwycięstwo
Jeśpanu Wiernickiemu, niechayże ręka two-
ia zacna Obywatelko, welecność i zasługę
iego uwieńczy,

R O Z Y N A.

Umiał być stałym dla mnie Jeśpan
Wiernicki przez czas tak długi; nie wątpię iż
takim zostanie i do wyścia żałoby moiey.

B I T N I C K I.

Mogłażbyś dopuścić się niesprawiedliwo-
ści takiej pocziwa Rozyno?.. Kochanek twoy
i ze względu wierności dla ciebie, i z nay-

wyższej zasługi, którą dla oyczyzny zrobił, naykosztowniejszey wart iest ofiary. Taką zaś czasu przewłoką zamiast nadgrody, na mayostrzeyszą karę skazany by został.

R O Z Y N A.

Spodziewam się, iż on sam przygotowany już iest przyjąć w podziale częśćkę smutku moiego.

B I T N I C K I.

I owszem, żadney odemnie ofiarowanej mu nadgrody, ani rangi Kapitana w Regimencie moim, ani wyższych ieszcze względów od Króla Jegomości przyjąć niechce dopóty, aż go pierwey ręka twoja uszczęśliwić raczy. Niechcieyże i iego, i nas wszystkich zasmuć.

ELZBIETA *do Rozyny.*

Kochana przyciotko! nietylko miłość, ale i oyczyzna tey niezwłoczney ofiary do maga się od ciebie.

R O Z Y N A.

Mamoyca, z którego słodkiey opieki nie wyzułam się wcale. Niechay więc on mną rozrządzi.

D O M I N I K.

Córko moja najmilsza! błogosławie ci z serca nayprzychylniejszego! .. i zaklinam cię na miłość moją .. odday siebie zaraz pocziwemu temu młodzieńcowi. Niech iuż święta ofiara uszczęśliwi was; a z wami razem mnie oycy, i przyacioł waszych.

BITNICKI *do Rozyny.*

Możemyż się iuż weselic?

R O Z Y N A.

Poydę za wolą oycy moiego.

WIERNICKI *z żywą czułością całując rękę Rozyny.*

Ah! .. Rozyno.

BITNICKI *do Wiernickiego.*

Winszuie Wacpanu Mości Panie Wiernicki, że otrzymałeś iuż godną serca swego nagrodę. Chciałeś na wspomozienie ubogich wieśniaków w okolicy Częstochowey mieszkających rangę swą sprzedać; ofiaruję Wacpanu na ten piękny uczynek sto tysięcy, które mu natychmiast z kasy wypłacone zostaną. *Do Miłosza.* Wacpan Mości Panie Adjutancie masz publikować zaraz Jeśpana Wiernickiego

Kapitanem w Regimencie moim. — Ja zaś szacunek twój zaczął parować! zachowawszy w moim sercu, nie przestanę nigdy wspominać: iż miłość cnotliwej kobiety utrzymała honor i szczęście narodu. *Odbierając od Petronelli wieniec.* Przyimiyże Mościa Pani Kapitanowo na piękne skronie bohaterski ten wieniec. Ofiaruj ci go kochanek twój; bo kosztem miłości twojej wystąpił go sobie. *Kładzie wieniec na głowę Rozyny.* — *Do Dominika.* Szczęśliwy Ojczy! przodkujże do ołtarza tym zacnym kochankom. *Podając rękę Rozynie.* A ja służę Waszemu.

D O M I N I K.

Ab! spieszmy się wszyscy złożyć cześć Najwyższemu! za udzielenie nam tylu razem dobrodziejstw.

BURMISTRZ *do Bitnickiego*

Jaśnie Wielmożny Dobrodzieiu! to ja podarunek miejski sobie wezmę.

B I T N I C K I.

Nie, na ubogich go rozdać.

KONIEC AKTU VGO I KOMEDYI.

B A Y K I
Y
P O W I E Ś C I.

T O M III.

K



B A Y K A I.

K O Z Y.

Folwarczna koza patrząc, iak dzika
Mech i korzonki ziada na skale.

„Szczęśliwa rzeknie: życie wspaniale,
„Gdy ia po chrustach dre tylko łyka.”

Zdięta więc płochem zapałem,
Porzuca żyzny krzewiny łoży,
I na wierzch skały do dzikiey kozy
Puszcza się czwałem.

Czegoż nie dopnie chęć szczera?
Choć bolą pięty i boki;
Przedziera się przez opoki,
I przyiaźń z dziką zabiera.

Zdziwiona dzika tym śmiałym krokiem.
Bo zawsze dzike gardzą Folwarcznemi.
Zmierzy ią z razu niechętnym okiem:
Odpowie wreszcie słowy misternemi.

K 2

„I owszem, moja kuzko baw się ze mną,
„Uczynisz mi rzecz przyjemną.”

I w tym się puści w nieścignionych skokach,
Po nayprzykrzejszych opokach.

Daleyże za nią i nasza się kinie.

Lecz o niedolo! o fatalny kroku!

Spadła! i iużci leży na nizinie:

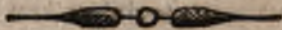
Dostawszy szwanku w niewłaściwym skoku.

A dzika na to: „Żal mi cię niebogo!

„Żeś się nie swoją zapędziła drogą.

„Zostańże mędrszą po tey iedney probie,

„Nie dla tych skały co skaczą go żłobie.”



B A Y K A II.

L I S I K U R T.

Lisowi kiedy już rady
Na nowe nie stało zdrady,
Przyszła do głowy myśl pusta,
Udać Pielgrzymą z oszusta.

Aby więc nie spłoszył kurek,
Ubrał się w szary kapturek.
Wdział na się łachmany worki,
Mentaliki i paciorki:

I w tej pobożnej figurze,
Zbliżał się ku jednej kurze.

Skoro go inne postrzegły:
Z krzykiem do kupy się zbiegły,
I dodawszy skrzydłom chęci,
Uciekały bez pamięci.

Lis mniemając: że strój dziki
Mądre jego psuie szyki.
Wspartszy na kosturze brodę,
Zapowiada kurom zgodę.

Woła co mu głosu stanie:

„Nie trwoźcie się dobre Panie!

„Jam jest grzechów moich dłużnik,

„Pokutujący jałmużnik.”

Na ten głos święto - ponury,

Zatrzymawszy bieg swoy kury:

Jeży się z dała ciekawie

Przyzierać iego postawie.

Aż wnet iedna z nich zakwoczy:

„Siostry! wszak to lisie oczy!

„Niech was słowa nie zdradzają.

„To lis: ślipie go wydają.

„Krycie się w kąć najciasniejszy.

„Zbrodniarz tym niebezpieczniejszy,

„Gdy utai niecne złości,

„Pod płaszczykiem pobożności.”

Pierzchnęły zdradzie ukryty,

A lis powrócił iak zmyty.

B A Y K A III.

K O T I C H A R T.

Kot żyjąc z połowu myszy;
Gdy ustawnie zdradą grzyszy:
Kradnąc się raz przez zagony,
Wpadł z nienacka w charta szpony.
Zląkły, chcąc się wydrwić składnie,
„Charcie rzeczce: czyż to ładnie?
„Abyś w tak wysokim stanie,
„Wiodł z kotami polowanie.”
„Nis żartuy chart mu odpowie.
„Słusznie siadłem na twej głowie.
„Złowionys w zdrady godzinie.
„Czym kto woiuie, tym ginie.

P O W I E Ś Ć I V.

P A S T E R Z P Ł O C H T.

Dobrze to mawiali starzy,
Piedzia się mierzyć potrzeba.
Bo gdy się komu nadto we łbie marzy;
Braknie mu wreszcie i chleba.

W szczęśliwym kraju Arkadyi żyzni,
Dorwał się Pasterz bogatej spuścizny.
A celując się z miernym inszych stanem,
Nabił sobie tym głowę, że wielkim był Panem,
Wpadłszy więc w muzgu łechcące zawroty,
W pośród uczuciow niezmiernych,
Ponaprzyimował hołoty.
I co miał, wszystko dał im do rąk wiernych.
Jakoż czego chciał, dopiął: darmo zawsze
siedział.

Bawił się, nic nie robił; o niczym nie wiedział.
A pełen czuciow tylko dla swej przyjaciółki,
Grał sobie na fleciku, i strzylał jaskułki.

Darmo go ostrzegali roztropni sąsiedzi:
Że co się nazbyt sączy, prędko się wycodzi;

Bo jak się można było spodnie niższym stanem?
Kiedy go ci co kradli nazywali Panem.

Minął się tak rok iakiś: a za każdym w
tropy

Poszły trzody, pasieki, i pełne zbeż szopy.
Na grunt wreszcie czereda wierzycielów
wpadła.

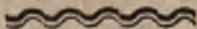
Tak za to co Pan ztrwonił, iak co czeladź
skradła.

Porwał każdy za swoje. A że iuż dość mało
Było reszty; dla Pana nie się nie zostało.

Kiedy iuż więc nie było na co się zadłużyć,
Pan nasz nielada konceptem ruszył.

By się skwitował, i łzy osuszył:

Do tego co naywięcej kradł go, poszedł
służyć.



B A Y K A V.

K O N I W O Ł.

Koń szydząc zwykle z niezgrabnego woła,
Kiedy raz szedł z nim na paszę pospołu :
Hardym postaci napuszony tonem,
Jął dzielnie brykać z zadartym ogonem,
 To naprzód woła wyskoczył.
To pyszne kroki obok niego toczył.
 To poprzek zaiąwszy drogę ;
Bocznym stąpieniem kładł nogę za nogę.
To parskął ; to proch rozmiatał na strony.
A widząc, że wół jest nieporuszony,
I skokom jego najumniej się nie dziwi.
„ Wole rzekł : wszakże głupi są szczęśliwi,
 „ Twa, iak ty niezgrabna dusza,
 „ Niczym się widzę niewzrusza.”
„ Owszem, wół na to odpowiedział dumnie.
 Wiedz że ten czyni rozumnie,
„ Kto niezmiyszany doli swej przyganą,
 „ Kontent z tego co mu dano.

„Chlubisz się ze łba i z nogi.

„Ja za to groźne mam rogi.

„Z resztą, nic w tobie niema do zazdrości.

„Kaczey wart iesteś litości:

„Że cię pełnego wdzięków i nauki,

„Jak osła w twarde kieżnają munsztuki.”



B A Y K A VI.

S K N E R A I P I E S.

Sknera, co tylko grosz do grosza składał,
Spał źle, pił wodę, suchą rzepę iadał.
Z brytanem się skontraktował,
Aby mu skarbu pilnował.
Co dzień miesa funtów cztery;
Dwa bochny chleba, dwa syry,
I mąki pełne koryto,
Brytanowe było myto.
Służył mu wiernie pies przy tym obroku,
Lat iedynaście i trzy ćwierci roku.
Aż sknera trzykroć zwiększywszy skarb złoty,
Umarł nagle na suchoty.
Na głos śmierci iego skory,
Zbiegły się wnet sukcesory.
I zluzowawszy brytana,
Rozerwały prace Pana.
Wiedząc zaś o oszczędności
Nieboszczyka Jegomości:

By kosztem , duszy iego niestrapili,
Na grzeszne ciało łachmany włożyli.
Klecha, dzwonnika, i dziadów dwie pary,
Naieli za trzy talary.

Kiedy już sknerę przywalano piaskiem,
Pies tylko ieden razit uszy wrzaskiem.
Więc zapytany , dla czego tak wyie?
„ Ah! rzekł: gdzież taki drugi głupiec żyie?
„ Coby sam łaknac , obficie mie żywił,
„ Aby niewdzięcznych kiedyś uszczęśliwił.”

B A Y K A VII.

S R O K A I K O S.

Spotkała się sroka z kosem:
Kos ją wita. — Ale ona
Pomruknawszy coś pod nosem,
Skoczy na bok iak szalona.
„Coż to znaczy? kos zapyta.
„Ja w przyjaźni chcę żyć z tobą.”
„A ja gardzę twą osobą,
„Rzeknie srocza faworyta.
„Wiedz, że iestem z dworskiej świty,
„I mam zaszczyt znakomity.
„Bawię gości. Z Panem iadam;
„Bo ięzykiem obcym gadam.
„Ty co umiesz?” — „Nic odpawie:
„Ja mniey wolę, a rozumnie.
„Drwię z ięzyków gdy pstro w głowie,
„I twoy zaszczyt niczym u mnie.

„Dmij ty iak chcesz, i kręć nosem;

„I szczeb otay, i służ Panu;

„Jam dumnieyszy z nego stanu!

„Boś ty sroką, a ia kosem.

Otoż dzikim obyczaiem,

Wzgardzili sobą nawzaiem.

Wieleż takich srok i w lesie,

I wśród ludzi znajduie sie!



P O W I E Ś Ć VIII.
N I E D Z W I E D Z.

Niedźwiedź drapieżney natury,
Możny w łapy i pazury:
W pośród borowego gmachu,
Jął przewodzić prawem strachu;
Wszystko co w tey kniei było,
Przed niedźwiedziem się korzyło,
I na każde mu skinienie,
Wnet nosiło pożywienie.

Szczęśliwy! gdyby rozumniey
Był swego bytu używał.
Lecz on stapał co raz dumniey,
Przeto, że w roskosz opływał.

Nie dość gnębić i próżnować,
Zachciało mu się zbyt kowac.
Więc co dotąd było miernie,
Zaczął drżyć niemiłosiernie.
Uczuły z czasem zwierzęta,
Że w okropne wpadły pęta.

Kiedy wszystko, co kto złowi,
Trzeba oddać niedźwiedziowi.

Zanoszą więc skargi żwawe.

Niedźwiedź zręcznie się wywiia.

Odrwił Pana. Wygrał sprawę,

I bezkarnie znow rozbiia.

Aż gdy wszystkich tak napada,

Pracowita pszczoł gromada,

Wylękniona paszczą głodu,

Chce się bronić z resztą miodu.

Suną nań rotty osobne.

Niedźwiedź łyka muszki drobne.

A pełen zemsty i wzgardy,

Już ma chwycić za ul twardy.

Gdy w tym pszczołek trzy oddziały

Wyparłszy się z nędzney chatki;

Takie mu razy zadały

W ślinie, uszy, i w nos gładki:

Że niedźwiedź boleń opiły!

Straciwszy rozum i siły!

W pośród naygorętszey modły,

Spadł iak długi z wierzchu jodły.

Upadek jego śmiertelny,

Przyniosł biednym dzień weselny.

Żaden go zwierz nie ratował,
I sam się tylko żałował.
Wreszcie gdy się z zgonem mierzył!
Rzekł językiem wpół - zdrętwiąłem:
„ Ah! iak późnom w to uwierzył:
„ Że nie trzeba gardzić małym. ”



B A Y K A IX.

K O G U T I P A W.

Kogut chlubny swą szupryną,
Postępując z dziarską miną :
Dotkliwie uraził pawia,
Że się tak przy nim nadstawia.
Z przekąsem go więc zagadnie :
„ Byłoby ci dość z tym ładnie,
„ Gdybyś przy gęsi lub kurze,
„ Pokazał się w tey posturze. ”
„ Coż dopiero przy twej głowie
„ Ze wżgardą kogut odpowie.
„ Ustąp mi, luboś piękniejszy :
„ Bo ja wszystkim potrzebniejszy. ”

B A Y K A X.

K R U K I, S R O K A.

Sroce, co się mieszczą w prawne ptaków
spory:

Kruk złodziejskim sposobem zarwał złote
zbiory.

Postrzegłszy sroka swoją skradzioną skar-
bnicę:

Złodzieiu! rzekła, poydziesz wnet na szu-
bienicę.

Nie krzywdź mię kruk odpowie bezecnym
nazwiskiem;

Wszak zyskuiem iednako: i ty i ia pyskiem.

B A Y K A XI.

W I L K I D Z I K.

Wilk z dzikiem w ubogim stanie
Mając dobre zachowanie ;
I wzajemnemi usługi,
Wspierając się przez czas długi,
W tey tylko były różnicy:
Że dzik mieszkał w okolicy,
A wilk i w zimie, i w lecie,
Za zyskiem latał po świecie.

Raz gdy z obcey wracał strony;
Trudem i głodem zmorzony.
Zaiętemu późną porą,
Przypadł nocleg pod oborą.
Trudno przeczyć. — I zbrodniarza
Często los szczęściem obdarza.
Chuci uśpioney paszczeki!
Przebudziły owiec beki.
Nie tracąc więc czasu marnie,
Wydusił cała owczarnię.

I wnet pilny swey wyprawy,
Przeniosł do jamy plon krwawy.

Kosztem tym cudzey niedoli!

Nasyciwszy sie do woli.

W nadętey pychy postawie

Wita dziką w ów czas prawie,

Kiedy dla żeru pod krzakiem

Pracował skrzętnie ryakiem.

„I pók iż rzecze ze wzgardą:

„Pruc będziesz ziemię tę twardą.

„Wstydz się dziku! nędzny tworze.

„Biedny ten co tylko orze.

„Ja przy lekkim czoła pocie,

„Zyskałem owieczek krocie.”

„Nie zazdroszczę dzik odpowie,

„Rozboiem się zysk ten zowie.

„Lepszy moy korzonek mały,

„Nad wydarte specyały.

„Hańba całą twą zdobyczą;

„Bo na wilka wszędy krzyczą.

B A Y K A XII.

M A Ł P A.

Małpa przyiaźnią niedźwiedzią splątana,
Chciała grać rolę równego mu Pana.
Jakoż posiadłszy ze spuścizny matki
Znaczne legumin i fruktów dostatki;
Aby je ztrwonić po pańsku, wspaniale:
„Jak i on rzekła trzeba dawać bale.”
Sprasza więc gości. Niedźwiedź bywa z niemi,
I darzy małpę względami Pańskimi.
Szczęśliwa.. oraz ochocza bez miary:
Kładzie ostatnie bytu swego dary.
Niedba na przyszłość, którą grozi zima.
U małp rachunków żadnych zgoła nima.
Zre niedźwiedź, sługi, wrogi, przyiaciele;
Bo rod niedźwiedzi potrzebuje wiele.
Otoż, co z tego wypadło zachodu?
Drwił niedźwiedź z małpv. Małpa zdechła
z głodu.

B A Y K A XIII.

J O W I S Z I R T Ś.

W on czas, gdy zwierząt różnych rodów
posły

Proźby swych braci do Jowisza niosły,
By się lituiąc nad ich niedostatkami,
Postać ich jakim naprawił przypadkiem.

Gdy jeden o dłuższe nogi,
Drugi się przykrzył o rogi.
Ten o ucha przykrócenie,
Inny o lepsze odzienie.

Wszedł Ryś z kolei. — Jowisz rozgniewany!
Krzyknął nań: „A ty jakiej chcesz odmiany?”
„Ja żadney niechcę z pokora odpowi.
„Niech będzie chwała twemu wyrokowi!
„Za udział moiey natury.
„Kontentem z zębów, szponów, i ze skóry;
„Ale usycham w mozole!
„Mam obok jeża, co śmierdzi i kole.

„I o

„I o to tylko twoy Majestat liżę!

„By w mym sąsiedztwie nie mieszkały iże.”

Jowisz się na te uświechnąwszy modły:

„Wszakże wiesz rzeczy, że ród jezów podły

„Tak jest stworzonym iak i zane płody.

„Mieszkasz z nim obok? cierpże iego smrody.”



B A Y K A XIV.

S Y N O G A R L I C E.

Jak wraz złączone strumyczki
 Żyjąc dwie synogarliczki;
 Czerpały źródło swobody
 W związku miłości i zgody.
 Każdy im szczęścia zażdrościł.

Aż gdy się sameczyk raz gościł.
 Powróciwszy niespodzianie,
 Gdzie iego było kochanie;
 Gdy śmiało w gniazdo się włacza:
 Znalazł w swym miejscu grzywacza.

Uleciał mu w oka mgnieniu.—
 Sameczyk w strasznym zadumieniu!
 Gdy go żona czule wita:

„Coż się to znaczy? zapyta.
 „Zjadł się wziął ten gość nieznany?”
 „Oto rzecz, mój kochany,
 „Obaczywszy plac twój próżny,
 „Wprosił się iakiś podróżny,

„ Aby mógł chwilę posiedzieć.

„ Niemogłam mu odpowiedzieć:

„ Ile że tey uczynności

„ Zebrał na imie ludzkości.”

„ Wspaniałaś, samczyk odpowis;

„ Lecz przeciw swemu stanowi.

„ Żyżę odtąd dla I'selgrzyma;

„ Dla mnie już tu miejsca nima.



B A Y K A XV.

JABŁON I CHMIEL.

W pięknym lasku na ustroni,
Przypiął się chmiel do Jabłoni,
I wiążąc swe po niey szn ury,
Wyskoczył nagle do gury.
Gdy się uyrzał nad iey szczytem;
Uniesiony pysznym bytem,
Niewczesne strojąc żarciki,
Bzekł do swoiey Dobrodziki:
„Czyżżeś teraz iest przy chmielu?”
Jabłoń na to: „Przyiacielu!
„Gdyby nie ia, nie me boki,
„Nie byłbyś ty tak wysoki.”

B A Y K A XVI.

K R U K I.

W głębi Afrykańskich stepów
Pełney owoców i lepów,
Była roskoszna część kraiu;
Podobna bardzo do Raiu.
W tym tylko różna, że z wieka
Nie powstał w niey ród człowieka.
Ptaki same tam mieszkały.
Ale ptaki, co gadały.

 Że płód wszelki tey krainy,
W czarodzieyskie możny czyny,
Tak wdzięcznie wszystkich odurzał,
Że się każdy w zbytku nurzał.
Kruki się na to obrały,
Aby wszystkich ostrzegały
Jak szkaradnie zbytek szkodzi.

 Płakali starzy i młodzi!
I za pokute, swe dary
Nicśli krukcom na ofiary.

Przez cały przeciąg żałoby,
Martwiły ptaki swe dzioby.
A kruki kracząc misternie,
Żarły tym czasem niezmiernie.
Aż przyszło komuś do głowy,
Weyrzec w kruków ton surowy,
I postrzeżono: że kruki
Kuglarskiey ięły się sztuki.

Więc że wszyscy do rozpasty,
Daremnie kruk złoto-usty
Klnie nowości pełne iadu!
Nic są słowa bez przykładu.



P O W I E Ś Ć XVII.

B U T E L K A.

Mirno rozwalin zamczyska,
Przechodząc podróżny z bliska,
Obaczył coś za kominem.

Była to butelka z winem,
Trzymająca dobrą miarę,
I z napisem „Wino stare.”

Ucieszony z tego wielce,
Przybliżył się ku butelce;
I wziąwszy ją w obie dłonie:
„O ty! rzecz, w której tonię
„Wszelka dolegliwość człeka!
„Darze wielbiony od wieka.
„Coś znękanie wielkie dusze!
„W dzielne zwracał gieniusze.

„Dodając im rad i siły.
„Darze stary! darze miły!
„Pokrzep i mą myśl stroskana!
„Wszak dla tego cię tu wlano.”

Kończąc tę czułą przemowę,
Nabił sobie moszczem głowę.
Lecz o fatalny zawodzie!
Duch był przeciwny urodzie.
Zniknął iak cień zapęd miły!
Kwasy gębę wykrzywiły.
Darmo w podniebieniu szuka
Przez gwałt wielkich przodków wnuka.
Wszędy, gdzie kropla smak dała,
Lurą się bydz okazała.

„A coż to krzyknie za czasy!
„Z tych wia przednich takie kwasy.”
I zaięty złością wielką!
Już chciał o mur rznąć butelką!
Kiedy go z tego zapędu
Myśl zwróciła warta względu:
Ze też same niegdyś ciało,
Przednie trunki wydawało.

Zmieniwszy więc zemstę w żale.
Rzekł tylko do niey w zapale.

„Zrzuc ten chlubny napis z siebie.
„Niech się wraz z moszczem pogrzebie!
„W zepsuciu, wszystko stracone..”

W tym odchodząc w swoją stronę,
„Tak się dzieje rzekł z westchnieniem!
„I z człowieka pokoleniem.”

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

R E J E S T R.

| | Na karcie. |
|---------------------------------|------------|
| <i>Obraz Szczęśliwości</i> | 5. |
| <i>Burza</i> | 26. |
| <i>Dom Gościnny</i> | 28. |
| <i>Do Człowieka</i> | 31. |
| <i>Pielgrzym nad Grobem</i> | 49. |
| <i>Komedia Rycerz Zakochany</i> | 59. |

BAYKI I POWIEŚCI.

| | |
|-----------------------|------|
| <i>Kozy</i> | 219. |
| <i>Lis i Kury</i> | 221. |
| <i>Kot i Chart</i> | 223. |
| <i>Pasterz płochy</i> | 224. |
| <i>Koń i Wół</i> | 226. |
| <i>Sknera i Pies</i> | 228. |
| <i>Sreka i Kos</i> | 230. |
| <i>Niedźwiedź</i> | 232. |
| <i>Kogut i Pająk</i> | 235. |

| | Na karcie. |
|------------------------------|------------|
| <i>Kruk i Sroka</i> - - - | 236. |
| <i>Wilk i Dzik</i> - - - | 237. |
| <i>Małpa</i> - - - | 239. |
| <i>Jowisz i Rys'</i> - - - | 240. |
| <i>Synogarlice</i> - - - | 242. |
| <i>Jabłoń i Chmiel</i> - - - | 244. |
| <i>Kruki</i> - - - | 245. |
| <i>Butelka</i> - - - | 247. |



**INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-730 Warszawa

Tel. 26-88-88, 26-84-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>



„korzystać, nietylko cię z nich wyzuło,
„ale nawet chciało cię z świata zgładzić. „
Dnia iutrzejszego miałeś być w więzieniu
uduszony. Bądź zdrow.

Tyfiąc kroć ucałowałem charakter po-
cziwey ręki. W worku znaczna była
summa złota, y klejnoty wielkiego sza-
cunku.

Nowym tym a niespodziewanym posił-
kiem wiparty, iak nayspieszniey oddala-
łem się od owego miasta, w którym nie-
gdyś życie tak fzcześnie wiodłem.

Swieże doświadczenie dało mi uczuć,
iak mało ubespierać się można na darach
fortuny, iak mniej iefzcze na ludziach.
Postanowiłem więc u siebie w rozmaitych
naukach, a osobliwie w Filozofii wsparcia
gruntownieyszego szukać.

Lubo na ow czas Ateny nie w tey, co
przedtym, były porze, nie straciły iednak
zupełnie reputacyi, którą niegdyś z szkół
licznych y Mistrzow wybornych miały.
Następcy *Platona*, *Arystotelesa*, *Dyogene-
sa*, *Zenona*, y *Epikura* na sekty podziele-
ni, pod różnemi nazwiskami czynili oso-
bne towarzystwa, każdy według własne-
go przeświadczenia żyjąc y ucząc. Chcąc

F
1033.
3

<http://rcin.org.pl>

F

1033 $\frac{1}{3}$